Nr 49 (1611). Warszawa, 9 grudnia 1911 r. Rok XXXI

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **WŁODZIMIERSKA Nr. 5. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Nacjonalizm w malignie.

Praktyka i teorja nacjonalizmu w wieku XX świadczą dowodnie, że rozum nie gra jeszcze żadnej roli w życiu zbiorowym, które stoi na niezmiernie nizkim poziomie etyki. Wynikające stąd szkody kulturalne i spustoszenia duchowe dopiero przyszłe pokolenia ocenią i wymierzą stosowną miarą.

Tymczasem niebrak piewców co wierszem i prozą sławią nacjonalizmu współczesnego czyny i przewagi. Rozlegają się i w Polsce bezinteresowne a natchnione na jego cześć hymny.

Akademicki organ N. D-cji sławi zalety i cnoty nacjonalizmu [1]) właśnie w momencie, kiedy bezpośrednio i zblizka widziany jego debiut budzi niezmierne obrzydzenie nietylko w każdym Polaku, ale w każdym myślącym Rosjaninie, w każdym uczciwym działaczu państwowym, stojącym zdala od ohydnej orgji, która na państwo całe roznosi dur śmiertelny, czad pijanego rozbestwienia. Lecz nozdrza publicystów endeckich wdychają ten czad z lubością, bo choć z cudzego płynie on święta, aleć zawsze kadzi miłej ich sercu doktrynie.

Wierny sobie, wyższy ponad wszystkie poboczne względy, stwierdza *Przegląd Narodowy*, że tylko nacjonaliści okazują „uzdolnienie do działania politycznego i do myślenia kategorjami politycznymi" bo tylko oni „odczuwają i pojmują" mechanizm życia zbiorowego.

— „Nie wszyscy ludzie to posiadają i tylko ci, którzy to posiadają, mogą się porozumieć między sobą".

Tedy np. Lednicki i Rodiczew nie będą się mogli porozumieć, ale Dmowski z Bobrinskim — i owszem. Biesiadowali wszak u Donona i wiemy, co z tego wynikło.

Byłoby wszystko dobrze, ale nieszczęście chciało—utyskuje *Przegląd Narodowg*—że z końcem XVIII wieku weszło na widownię życia *mieszczaństwo*, które „nie posiada własnych tradycji politycznych, ani praktyki życia politycznego, nie zna i nie rozumie „wielkich prawideł", które rządzą życiem narodów". Oni to mówią, niepoprawni tej Polski szlacheckiej synowie, co cierpiała i upadła przez brak mieszczaństwa, tej najniezbędniejszej i twórczym, pozytywnym zmysłem obdarzonej formacji!...

Owóż mieszczaństwo, ku największemu utrapieniu polityków z *Przeglądu Narodowego*, ogarniając „coraz szersze tereny współczesnego życia państwowego, wnosi na nie swój sposób myślenia, a właściwie całą swoją *bezmyślność polityczną*. W połowie zeszłego stulecia rozbrzmiewają po całej Europie *szumne hasła*, które dopiero w praktyce życia codziennego odsłaniają całą swoją *próżnię* i nierealność". Szczęściem — ciągnie surowy sędzia — znalazł się rząd pruski, który „nie dopuścił nowych warstw do kierownictwa istotnymi sprawami państwowymi" wskutek czego monarchja junkrów i kapralów sterczy jeszcze nad oceanem „szumnych haseł", jak błogosławiona wyspa ukojenia — dla rozgoryczonych sukcesami mieszczaństwa naszych bismarcząt.

Ale i państwo rosyjskie sprawiło im nielada miłą niespodziankę, pognębiwszy „nowe warstwy" i wy-

[1]) „Przegląd Narodowy", Nr. 10 art. wstępny „Nacjonalizm" przez S. K.

sunąwszy na czoło władzy mężów tak „uzdolnionych do myślenia kategorjami politycznymi" jak Aleksiejew, Bobrińskij, Filewicz, Markow II *et consortes*. Ci bowiem „nacjonaliści" napewno nic wspólnego nie mają z mieszczaństwem o szumnych a próżnych hasłach, a natomiast każdy z nich podpisać się może oburącz pod artykułem *Przeglądu Narodowego*, a zwłaszcza pod jego formułą końcową: „Jedynie szerokie rozpowszechnienie politycznego myślenia, a zarazem obudzenie się drzemiących w społeczeństwach współczesnych instynktów narodowych, może ocalić narody europejskie od zagłady i rozpadnięcia się ich jedności duchowych. To też mimo postępującego jeszcze rozkładu społeczeństw, mimo zorganizowanej akcji masonerji, zmierzającej do uśpienia i zabicia instynktu życia w narodach Europy, należy przypuszczać, a nawet można wierzyć, że istnieje ten niezniszczalny instynkt w narodach, podobnie jak w jednostkach, który je uchroni od zagłady".

— Co to jest? — spyta czytelnik, oczy przecierając — maligna czy obłęd beznadziejny? Więc to, co się w Rosji wyprawia obecnie, jest „rozpowszechnieniem politycznego myślenia" a nie przejściową fazą rozpasanego z więzów barbarzyństwa? więc junkierskie rządy w Berlinie mają „ocalić narody od zagłady?" Więc postęp demokracji, usiłującej wdrożyć normy etyczne i prawne w stosunki międzynarodowe gdzie dotąd zbójecki panuje atawizm — więc to jest chęć „uśpienia i zabicia instynktu życia" w Europie? Ależ tak rozumiany instynkt życia przechował się chyba wśród jakichś Tuaregów Sahary, albo wśród Kurdów, Turkmenów, Mandżurów — wypieranych, niestety, i z Chin przez rozrost idei mieszczańskich z ich „polityczną bezmyślnością", która, dźwignąwszy kolejno wszystkie ludy Europy, podźwiga obecnie i Azję...

Lecz dość! Nie mamy zamiaru prostowania wywodów, z których przeziera kalectwo myśli, wypaczonej niedorzeczną i ciasną doktryną. Autor zowie to specjalnym „uzdolnieniem" i zapewnia, że „nie wszyscy ludzie to posiadają, i tylko ci, którzy to posiadają, mogą się porozumieć między sobą". Niech i tak będzie. Rezygnujemy tedy z porozumień na rzecz osób innej kategorji, które „to" posiadają i o których poniżej.

Słówko jeszcze o żywiołowym wstręcie nacjonalistów do mieszczaństwa. Konserwatyści krakowscy z obozu *Czasu* i realiści warszawscy ze *Słowa*, nierównie lepsi „szlachcice" od „łyków praskich" — tych wstrętów bynajmniej nie podzielają, a natomiast pośpieszyli ogłosić wymowny ustęp z dzieła prof. Zdziechowskiego p. t. *Znieprawienie nacjonalizmu*, gdzie konserwatysta krakowski takie wystawia świadectwo „wybrańcom patryjotycznej dzikości", którzy niedawno ujawnili w Kijowie drogi sercom endeckim „instynkt życia", uciesznę czyniąc sobie widowisko z podrygów śmiertelnych wisielca:

„Tryumfowali, krzyczeli, śmiali mu się w oczy albo urągali, słowem, zachowywali się tak, że żandarmi musieli ich do porządku przywoływać. Ci ludzie bez wstydu, bez sumienia, „bez prostej nawet — jak się wyraził o nich publicysta Łopatin — świadomości, że należą do rodzaju ludzkiego" — dali obraz zwyrodnienia i potworności, jakiej daremnie szukalibyśmy gdzieindziej. Obrzydliwie pomyśleć — wołał tenże publicysta — że nie wiedząc o tym, mogę jednego z tych panów spotkać gdzieś, np. w tramwaju, i usiąść obok niego, i ubranie moje o jego ubranie się otrze!..."

ECHA PRAWDY.

Towarzystwo Przyjaciół Rapperswilu.

Wśród najżywszego rozgwaru posiedzeń „Rady muzealnej" i u drzwi posiedzeń „Komisji do rozważenia zarzutów", poczynionych Radzie, — u podnóża kolumny barskiej, — założone zostało „Towarzystwo Przyjaciół Rapperswilu".

Honorowe przewodnictwo szczupłego zespołu osób, które się z myślą tą zsolidaryzowały, objął Teodor Tomasz Jeż.

Teodor Tomasz Jeż...

Z książki i z legendy wie dzisiejszy człowiek o minionej, w przeszłości zagasłej „węgierskiej kampanji". Ze zrudziałego wizerunku rozpoznaje Dembińskiego, Zamoyskiego oblicze. Z nieśmiertelnej piękności „Bema żałobnego rapsodu" widzi jego cień we mgłach.

Starzec, który nowemu Towarzystwu przewodniczy, widział Ich na własne oczy. Nietylko ich widział, lecz szedł za nimi w walecznym szeregu śród świstu kul. Znużoną w pochodach głowę kładł na kretowisku polnym, gdy wokół pękały granaty...

. . . .

Tymi słowy zagaił Stefan Żeromski projekt reorganizacji Muzeum Rapperswilskiego, wyłożony w specjalnej broszurze, poświęconej udowodnieniu zarzutów przeciwko zarządowi muzealnemu skierowanych, a zarazem omawiający cel i zadania nowozałożonego Towarzystwa. (Stefan Żeromski: „O przyszłość Rapperswilu". Nakładem wydawnictwa *Życie* w Krakowie).

Ale gdyby nawet swego imienia pod nimi nie położył, poznalibyśmy go już ze słów owych majestatu. Tak dziś o przeszłości, w popiołach zagasłej, on jeden już tylko potrafi mówić. Tyle z niej dobyć ukochania. Tyle ocalić rzeczy błogosławionych. Gdy bowiem inni zwracają się do przeszłości po sankcję dla martwoty ducha, on szuka w niej obrazów Bohaterstwa i Wielkości „co tęgich sił odżywia w sobie moce". Gdy inni gruzami, osypującymi się z jej rumowisk radziby zagrodzić wszelkie drogi rozwoju, on odwołuje się do jasnych imion Żółkiewskiego, Dąbrowskiego, Kniaziewicza i wzywa je na świadectwo siłom, które narodowi żyć każą i dążyć naprzód.

Czymże jest Rapperswil dla Żeromskiego?

Przedewszystkim ma on dlań, jak sam mówi, wartość starego puharu, porzeźbionego krwawymi łzami ojców. Ale, dodaje on natychmiast, niechże Rapperswil nie będzie tylko puharem pamiątkowym. „Należy nalać weń tęgiego wina żywota dla odżywienia sił narodu. Rapperswil nie może zostać tym, czym jest obecnie. Powinien on stać się sworzniem, łączącym starą ziemię z rozsianymi po świecie jej synami, powinien stać się manometrem polskiej pracy i sam od tej wewnętrznej pracy zawrzeć".

Przez szereg lat, jak treść książki udowadnia, były czynione starania, ażeby ze zbiorów rapperswilskich, bez ładu gromadzonych, stworzyć muzeum: czyniono je bezskutecznie. Teraz, nareszcie, udać

Lecz publicyści *Przeglądu Narodowego* są dużo mniej wybredni od październikowca Łopatina. Każdy z nich nietylko usiądzie obok „jednego z tych panów" ale pospołu drwić będą z „szumnych haseł" mieszczaństwa i wzajem się ostrzegać będą przed „zorganizowaną akcją masonerji". Ci „panowie" nie mają wprawdzie prostej nawet świadomości, że należą do rodzaju ludzkiego, są może odarci ze wstydu i sumienia, ale zato, jako nacjonaliści, posiadają z pewnością „uzdolnienie do działania politycznego i do myślenia kategorjami politycznymi".

Z takimi tylko ludźmi politycy *Przeglądu Nar.* lubią przestawać, z takimi tylko mogą się porozumiewać, jak upewniał nieoceniony aut r cytowanych tu zdań. Zostawmy go zatym w dobranym a miłym towarzystwie.

Znasz-li ten kraj?

Przed tygodniem zwracaliśmy w „Echach Prawdy" uwagę czytelników naszych na dwa utwory beletrystyczne, malujące tło oraz wypadki życia rodaków naszych w zaborze pruskim. Acz pod względem czysto literackim i estetycznym pozostawiają one wiele do życzenia, jednakże jako dokumenty kultury tamtejszej, dokumenty wystawione Wielopolsce przez jej własnych synów, a zarazem jako bezpośrednie głosy prowincji, która tak rzadko w literaturze naszej się odzywa, zasługują, zdaniem naszym na rozbiór szczegółowy i krytykę zasadniczą. Tą myślą powodowani, wracamy raz jeszcze do tematu, podjętego w ubiegłym n-rze.

I.

W ostatnich czasach zaczęto u nas rehabilitować a nawet apoteozować Poznańskie, przedtym doszczętnie zdyskredytowane wobec opinji polskiej nietylko postępowej i wolnomyślnej, ale choćby poprostu myślącej i patryjotycznej.

Ani tragedja wrzesińska, ani wóz Drzymały, choć silny oddźwięk współczucia zbudziły we wszystkich sercach polskich, nie mogły zmienić poglądów na stan umysłowy i moralny tej martwej dzielnicy, choćby dlatego, że były one raczej wstrząsającym obrazem prześladowań, jakie rodacy z nad Warty znoszą, niż męztwa, jakie im przeciwstawiają.

Wiemy przecież, że wóz Drzymały można uważać za symbol tego, co być powinno, nie tego, co jest, bo i teraz jak dawniej nietylko szlachta lecz i chłopi wyprzedają kolonizacji ziemię i ojczyznę burzą. Wiemy, choć o tym prasa dyskretnie milczała, że tragedji wrzesińskiej mogłoby wcale nie być, gdyby wyższa władza kościelna odrazu stawiła opór zakusom nauczycieli i inspektorów szkolnych, samowolnie wprowadzających wykład niemiecki do nauki religji katolickiej.

Wiadomo także, że dzielnica ta do ogólnego gmachu narodowej kultury nic wartościowego nie wnosi, a jeśli i dostarczy jakiejś cegiełki, to będzie to coś w rodzaju wykładów socjologji chrześcijańskiej księdza Zimmermana lub „Mojej baby" — tegoż autora, że zaś i na odwrót z dorobku tej kultury omal nic nie czerpie, gdyż żadne poważniejsze wydawnictwo, żadna książka naukowa na zbyt wśród nadwartańskich rodaków liczyć nie może, przeto jest wszelka racja uważać Poznańskie jako pustkowie duchowe, krainę narodowych nieużytków.

Jedyny jasny punkcik na tym ciemnym zaułku ojczyzny naszej, to ekonomiczne organizacje, rozwijające się w zaborze pruskim: spółki zarobkowe, banki ludowe, kasy reifeizenowskie, kółka rolnicze.

Na tle ruchu gospodarczego na wsi, którzy w tak szybkim tempie rozwija się u nas po latach rewolucyjnych, zaczęło się budzić żywe zainteresowanie dla tych istotnie pożytecznych instytucji, podniecane najusilniej przez obóz konserwatywny i klerykalny, który radby może zbyt niewolniczo na naszym gruncie je skopjować, przeciwstawiając wzory poznańskie — mniej sympatycznym dla siebie a importowanym przez

---

się to powinna. Ludzie, którzy pod honorowym przewodnictwem T. T. Jeża zawiązali „Towarzystwo", nic innego nie mają na celu, tylko to, żeby im pozwolono dla ziszczenia nadmienionej idei pracować. Nie mają oni, zastrzega się Żeromski, ani cienia intencji, żeby ów Rapperswil dziedziczyć, wydzierać go obecnym kierownikom, albo — żal się Boże! — o władzę nad tym murem walczyć. Nie są oni ani najnowszą emigracją, ani stronnictwem, ani partją. Są to obywatele, przywiązani do muzeum rapperswilskiego. Jedni z nich złozyli tam swe dary, inni włożyli tam swą pracę, a jeszcze inni pragną złożyć dary, pracę, grosz, albo pomoc. Ci wszyscy służyć pragną instytucji rapperswilskiej, ażeby ona, z kolei, służyć mogła — ojczyźnie.

„Harmonja" żydowska.

Niedawno — jak donosi jeden z dzienników żargonowych — odbyło się zebranie żydowskiego Towarzystwa opieki nad chorymi w sali *Harmonji.* Gdy jeden z mówców zaczął przemawiać po polsku, litwacy wszczęli olbrzymią wrzawę, domagając się, aby mówił w żargonie. Mówca tłómaczył się, że w żargonie trudno mu się wyrażać, nic to jednak nie pomogło. Litwacy postawili na swojem i reszta wieczoru była już niczym niezakłóconą czysto żargonową harmonją.

Fakt jest tak jaskrawy, że nie wymaga komentarzy.

Przeciw grabarzom Polski.

Jesienią r. b. odbył się z inicjatywy biskupa Przemyskiego Kongres Marjański, połączony z wiecem stowarzyszeń katolickich.

W sprawozdaniach z Kongresu przyniosły dzienniki wiadomość, jakoby śród przemówień powitalnych zabrał głos prof. Czerkawski w imieniu Wszechnicy Jagiellońskiej.

Zaniepokojona tym wystąpieniem młodzież uniwersytecka wysłała delegację do rektora z zapytaniem, kogo reprezentował na kongresie prof. Czerkawski?

W odpowiedzi otrzymała uchwałę, w której Senat „zaprasza" i „upoważnia" prof. Czerkawskiego do zastępstwa Senatu na rzeczonym Kongresie.

Uchwała owa była dla młodzieży niespodzianką niezmiernie przykrą. Wszak Senat w wystąpieniach zewnętrznych reprezentuje nietylko ciało profesorskie: w znacznym stopniu jest on również przedstawicielstwem młodzieży, która pod jego kierunkiem i razem z nim dla rozszerzenia i podniesienia nauki polskiej pracuje. Młodzież owa z ufnością losy swe składa w ręce przewodników, ilekroć chodzi o wysiłki, o ofiary, o trudy i dążenia, mające uświetnić Wszechnicę i naukę polską zbogacić.

Z chwilą atoli, gdy ci przewodnicy, miast prowadzić młodzież ku szczytom wiedzy, na których niepodległość ducha prometeuszowym goreje blaskiem, zstępują w kruchty kościelne, padając na kolana przed pychą małych ludzi, — młodzież za nimi nie pójdzie!

ludowców wzorom czeskim. Nawiasem mówiąc, różnicę między jednymi i drugimi stanowiło, że gdy pierwsze tworzone są i kierowane przez księży dla ludu, drugie organizuje lud sam dla siebie. Klerykali nasi mają w tym dobrze zrozumiany interes, aby krzewić i pielęgnować kult dla poznanskiego społeczeństwa, które jest istnym rajem dla księży. Nietylko oni jednak ten kult szerzą. Jest on obecnie deską ratunku dla stronnictwa, które usiłowało zmonopolizować dla siebie narodowe hasła i sztandary, a czyniło to z powodzeniem póty tylko, póki gra była dosyć obiecująca i nie zdawała się ryzykowną. Gdy jednak rubryka strat i ofiar zaczęła zbyt widocznie przeważać nad rubryką zysków, naraz zamiast na froncie, znalazło się ono na tyłach narodowej armji.

Chodzi mu teraz oczywiście o dorobienie przyzwoitej teorji do niezbyt przyzwoitej akcji—ucieczki. Rozpoczyna się więc poszukiwanie najtańszego gatunku patryjotyzmu, któryby nabyć można za bezcen z okazji, a następnie wmawiać, że jest on jedynie prawdziwy. Gdzież szukać lepszego źródła tego towaru niż w Poznańskiem? Tam o „romantyzmie politycznym" nikt i słuchać nie chce od czasu, jak ostatnich jego epigonów — Władysława Niegolewskiego i Ludwika Rzepeckiego złożono do grobu. Poezję, sztukę, muzykę, trucicielki dusz, jak objawił światu autor „Cyganerji", już dawno zredukowano do roli Kopciuszków. Bujnie natomiast kwitną gorzelnie, restauracje, winiarnie i piwiarnie polskie, czyniąc niemieckim skuteczną konkurencję; kwestja dobrego jedzenia i obfitego picia jest stale równie doniosłą i żywotną, jak w ostatniej sztuce Nowaczyńskiego i choć ojczyzna się kurczy, rodakom nabrzmiewają kieszenie i brzuchy a wszystko to dzieje się pod hasłem dobra narodowego!!

Znasz-li ten kraj?!

Kto go chce poznać bliżej, niechaj skorzysta z nadarzającej się sposobności i przeczyta dwie powieści na tle życia poznańskiego napisane przez Poznańczyków.

Nie są one zupełnie wiernym a tym mniej wszechstronnym obrazem stosunków lokalnych. Autorowie, jako wychowańcy tej dzielnicy, wykarmieni mlekiem jej przesądów pozbawieni są perspektywy oddalenia niezbędnej dla objęcia wzrokiem całości i ustalenia należytej proporcji między jej częściami.

W pierwszym rzędzie uderza to, że jeden i drugi, zwiedzając menażerją nie zauważył słonia. Nie może być wiernym odbiciem poznańskiego życia i obyczajów powieść, w której na kilkanaście osób świeckich nie występuje żaden obywatel w sutannie lub gdzie rzadkie sylwetki duchownych znajdują się na ostatnim ledwie naszkicowanym planie, kiedy wiemy aż nadto dobrze, choćby z samych sprawozdań dziennikarskich, że księży jest tam pełno wszędzie i że wszędzie grają rolę pierwszorzędną, decydującą, wszechwładną.

O tej omnipotencji księżej p. Wierzbiński wspomina tylko nawiasowo i epizodycznie malując położenie redaktora Lisnowskiego: „Gdyby był zapomniał o tym, że lwia część udziałów „Piasta" należała właśnie do ziemian, albo wdał się w wojnę ze straszakiem ugody, czujny ksiądz radca Sztum byłby go natychmiast chwycił za połę surduta i ściągnął z barykady". Ubocznie też i jakby czysto przypadkowo występuje zasadniczy rys światopoglądu poznańskiego, identyfikowanie polskości z katolicyzmem, w praktyce prowadzące do tego smutnego wyniku, że w starej Piastowej kolebce polskość niemal zupełnie się ulatnia a zamiast niej powstaje jakaś obca dla innych rodaków narodowość katolicka. Gospodyni Wółkowska, jako „przykładna katoliczka" nie powinna sprzedawać swego gospodarstwa komisji kolonizacyjnej, tak mówi redaktor, a chcąc dodać swym słowem powagi, przedstawia to zdanie, jako wyjęte z ust księdza Sztuma i wtedy dopiero zamierzony skutek osiąga.

Kilku takimi wzmiankami zdradza pan Wierzbiński, że słonia widział, lecz że to w jego oczach bardzo poczciwe zwierzę, a że przytym bardzo silne, więc rozsądek nakazuje go nie drażnić. Pan Romocki, lepiej jeszcze przystosowany do warunków, po prostu przyklęka przed słoniem, ile razy koło niego przechodzi, to jest ile razy nazwisko jakiegoś ducho-

---

Niech-że sobie nieszczęśni ducha polskiego grabarze, panowie Czerkawscy i Tarnowscy w niewolniczych hołdach tłuką siwymi głowami oślepłych pokorą starców o kamienne stopnie ołtarzy, na których tlą się dogasające gromnice przesądu! Młodzież za nimi nie pójdzie i przeciw uczestnictwu w poniżającym ceremoniale imieniem młodości swej zaprotestuje.

Udział uniwersytetu Krakowskiego na Kongresie Marjańskim jest krzywdą, wyrządzoną zarówno młodzieży akademickiej, jak wspaniałej tradycji, w okresie złotej tolerancji przez Wszechnicę Jagiellońską zdobytej.

W surowych, ale pełnych powagi wyrazach, przeciwstawiła młodzież swoje *veto* wolnomyślne zbutwiałej uchwale Senatu.

Pod datą 23 listopada podpisały się pod nim najżywotniejsze organizacje studenckie: *Czytelnia Akademicka, Promień, Spójnia, Wzajemna Pomoc U. U. J., Zjednoczenie, Znicz.* Protest przesłany został Senatowi.

Stając wobec protestu owego, zali na chwilę można się zawahać, po czyjej stronie stoi światły, twórczy, wolnościowy duch Jagiellonów, a komu zasię wyschłymi wargi błogosławi czarne widmo jezuickiego króla, który miecz i krzyż w nieudolnych ręku dzierżąc, krzyża nie umiał obronić, a miecz z drżącej dłoni upuścił...

Pijany Helota.

Pan Zagłoba z panem Wołodyjowskim długo w gospodzie pod Bachusem nie bawiąc, wyszli na miasto, radzi w tłum świąteczny się wmieszać. Gdy tak szli, dziwując się rojnemu na ulicach zbiegowisku, zwrócił ich uwagę jegomość szpakowaty i suchy, z waszecia odziany i mocno snadź podchmielony, bowiem zygzakiem pod ścianą wędrował, przyśpiewując różne ojdady i hopcasy i z zapałem przytupując, aż mu bekiesza z fantazją na łbie siedząca w bok zjechała.

Właśnie, gdy się zbliżali, podchmielony szlachcic zatoczył się na wrota żydowskiego zajazdu i głową w kant muru wyciął, zaczym, w ogromną wpadłszy passję, dobył szabli i jął rąbać oddrzwia i okna zajazdu, strasźliwemi zionąc groźby a przekleństwy na wystraszonego szynkarza, który wypadł na ulicę z wielkim lamentem. Wszczął się tumult i wrzask niezmierny, zaś dokoła ciżba uliczna ucieszne czyniła uwagi, dworując sobie z pijanicy i zachęcając go ku większym jeszcze brewerjom. Ów dalej pomstował i szablicą wywijał, gdy w tym, przyjrzawszy mu się, bacznie, trącił pan Michał pana Zagłobę i rzecze:

— Patrz ino waszeć, toć twój kompan z Rypina!

Zagłoba przetarł oczy:

— Jak mi Bóg miły!—krzyknął—to pan Ignacy! Zupełnie się widać rozpił, a głowę zawsze miał słabą, biedaczysko.

I rozpychając tłum łokciami, przyskoczył do warchoła, ujął go w objęcia i mitygować począł:

— Panie Ignacy, na miłość Boską, opamiętaj się co czynisz! Toć jak hajduk albo ciura wszeteczny, na gościńcu tumulty wyprawiasz, pospólstwo bawisz po po pijanemu!

Ow spojrzał nieprzytomnie i Zagłoby nie poznaw-

wnego niepoświęconymi wymówić musi usty. Dla niego — oczywiście — Kościół i duchowieństwo to tak nietykalne świętości, że nie godzi się ich pospolitować w tak błahej robocie, jak pisanie powieści.

(d. n.) *J. Tarczewski.*

Listy z Galicji.

XVII.

Aresztowanie dyrektorów Banku Parcelacyjnego.

Wielką sensację wywołało aresztowanie byłych dyrektorów Banku Parcelacyjnego we Lwowie, panów Deskura i Poznańskiego. W swoim czasie (w styczniu 1910 r.), w artykule o Banku, zamieszczonym w „Prawdzie" dałem ogólną jago charakterystykę, wskazując na okoliczności, które spowodowały jego bankructwo. Nie będę tu teraz tego powtarzać, zaznaczę tylko, że do 1905 roku mniej więcej narodowi demokraci brali w tej instytucji czynny udział, i że nie mogąc jej całkowicie opanować wyszli z niej i rozpoczęli przeciwko niej kampanję. Za jej inicjatywą zamknięto kredyt tej instytucji w Banku Krajowym, co, w stopniu niemałym, przyczyniło się do jej upadku. Od chwili rozpoczęcia likwidacji Banku śledztwo prowadziło drobiazgowe dochodzenia, nic jednak karygodnego w działalności jego dyrektorów nie znalazło, to też byli oni na wolności, a jeden z nich, Poznański, brał nawet udział w likwidacji Banku.

Niedawno przywódca narodowych demokratów Grabski, wraz z posłem Zamorskim, także wszechpolakiem, zrobili na dyrektorów Banku doniesienie do prokuratorji, oskarżając ich o różne karygodne czyny. Na skutek tego doniesienia zostali oni aresztowani.

Właściwie to, o co ich oskarżają obecnie podnoszono i poprzednio przeciwko nim. Główne zarzuty dotyczą dwu punktów: 1) prowadzenia parcelacji na własną rękę, po za Bankiem, celem osiągnięcia znacznych zysków i 2) podpisywanie weksli prolongacyjnych zamiast włościan, za ich jednak wiedzą, celem uniknięcia przesyłania na wieś.

Co do pierwszego z tych zarzutów, to jest on prawdziwy. Parcelowanie majątków ziemskich na własną rękę przez dyrektorów Banku praktykowało się wówczas jeszcze, kiedy w Banku oprócz ludowców byli i narodowi demokraci. Po ustąpieniu jednak tych ostatnich, Rada Nadzorcza instytucji, składająca się bądź to z ludowców, bądź to z ich przyjaciół politycznych i osób obojętnych, powzięła uchwałę zabraniającą dyrektorom prowadzenia interesów parcelacyjnych na własną rękę.

Tak więc, naczelna władza Banku sama, bez nacisku z zewnątrz, wystąpiła przeciwko tym niewłaściwym praktykom, w czasie (w 1905) kiedy Bank stał jeszcze bardzo dobrze, i kiedy nic zdawało się nie zagrażać jego bytowi.

Co do drugiego zarzutu podpisywania weksli zamiast włościan za ich wiedzą, celem uniknięcia trudności technicznych, to jest on słuszny także. Niezawodnie takie naruszenie formalności nie powinno być praktykowane. Nie było w tym jednak złej woli, chęci oszukania kogokolwiek na swój rachunek. Była to lekkomyślność.

Panowie Deskur i Poznański gdyby byli istotnie popełnili nadużycia kryminalne, gdyby rzeczywiście zrobili na Banku grube interesy—mogliby do tego czasu bardzo łatwo uciec i skryć się gdzieś za oceanem. Nie próbowali jednak tego, gdyż nie czuli się winnymi.

Aresztowanie ich posiada tło wybitnie polityczne. Narodowi demokraci, posiadający wśród urzędników sądowych licznych przyjaciół, usiłowali skompromitować wybitnych ludowców, którzy przyczynili się znacznie do ich osłabienia politycznego. Dla p. Grabskiego, znanego ze swojego cynizmu politycznego, aprobującego wszelkiego rodzaju machinacje demagogiczne, sprawa Banku była zupełnie obojętna, chodziło mu tylko o skompromitowanie p. Stapiń-

---

szy, zagroził mu sztychem, ale potknął się na chwiejnych nogach, całą szerokość ulicy przemierzył i padł jak kłoda na porzucony w błocie numer *Gazety Warszawskiej*...

Huknął naokół śmiechem gęsty tłum gapiów, a pan Ignacy, w *Gazetę Warszawską* spowity, tarzał się po ziemi, ochrypłe wydając dźwięki, ku niezmiernej uciesze gawiedzi, która dokoła niego dzikie zawiodła pląsy. Pan Michał i pan Zagłoba nie wiedzieli, co począć, gdy nagle zjawił się przy nich pan Skrzetuski i surowo na zbiegowisko patrząc, tak przemówił:

— Oto do czego prowadzi niepowściągliwość i niestatek! Człowiek naszej kondycji, do cna upodlony, ninie pijanego Heloty gra rolę, która na tym polega, by w ludziach poważnych budzić zbawienną odrazę do nałogu, co takie wywołuje skutki. Zostawmy nieszczęśnika jego losowi i uchodźmy ztąd czymprędzej.

I poszli, a za nimi długo grzmiały ryki, wycia i świsty rozpasanej ciżby.

Na Boga, Muzo, trochę śmiechu!

Na Boga! trochę śmiechu — — —

— — — — — — — — — — — — —

— Żem w pragnienia bogaty, — zawołał pan Ignacy Grabowski, — jak bąk siadam na kwiaty! Jak bąk wolen troski.

To mówiąc, siadł na *Towarzystwie Kultury Polskiej*, siadł i... zapomniał się najfatalniej w świecie...

Niestety każdy bąk, nawet bąk „w pragnienia bogaty", jest tylko bąkiem...

To też już po kilku dniach organ T. K. P. zmuszony był podać do wiadomości powszechnej notatkę następującą: „Po pismach warszawskich uwija się *nieczysty brzęczący owad*, który pstrzy ich papier śladami swej nieobyczajności. Ten zły owad osądził, że winnymi morderstw (na tle zatargów między piekarzami) są żydzi, bo szerzą socjalizm, i nasze Towarzystwo, bo uprawia „szwindel kultury".

Biedny bąku! bogaty jesteś w pragnienia, lecz biedny, lecz jakże ubogi rozumem.

Moglibyśmy zdławić cię, nieczysty bąku, obcasem, ale z musu pobłażliwi będziemy dla twych natrętnych bzykań, bo, doprawdy, śmiech i odraza nas obezwładnia. Więc wraz z „Kulturą Polską" moglibyśmy powiedzieć: lepiej że autor „Sokoła" pisze takie artykuły, niż liche dramaty i poezje, bo tam naiwni mniemają, że to literatura, a tu każdy widzi, że to jest taki sobie, warszawsko-rynsztokowy paszkwil. Jednakże sama myśl, że p. G., pojąwszy słowa te jako zachętę, mógłby jeszcze jeden gdzieś napisać artykuł, przejmuje nas takim wstrętem, że wołamy odruchowo: nie! nie! już wolimy jego ramoty!

O! nie znaczy to wcale, aby wysłuchiwanie wierszy i dramatów pana Grabowskiego nie było dla nas torturą; aby nam nie puchły i nie jęczały uszy od rymów takich jak:

„Na bok ręce, nogi, brzuchy,
Co wysterczy — ciąć mi zuchy!"

skiego i Długosza, którzy mieli z Bankiem styczność chociaż nie kierowali jego działalnością i którzy byli kandydatami na ministrów.

Jako nie fachowiec, nie czuję się dość kompetentnym do oceniania kwalifikacji finansowych panów Deskura i Poznańskiego jako kierowników Banku. Być może, że popełnili liczne błędy, że byli nawet czasami lekkomyślni, że nie trzymali się zawsze ściśle przepisów i t. p. Nie wynika jednak z tego, aby byli złodziejami i aby cała działalność Banku była tyllko szwindlem. Co zaś do panów Stapińskiego i Długosza, to nie mogą być oni w najmniejszym nawet stopniu odpowiedzialni z powodu upadku Banku. Pan Długosz chcąc uratować Bank nie żałował na niego dużych pieniędzy, p. Stapiński nie mógł tego zrobić, gdyż nie posiada majątku. Cała sprawa jest wielką chmurą, z której będzie mały deszcz.

Miejsce ministra Zaleskiego, który objął tekę finansów, zajął ludowiec Długosz. Tak więc, intryga p. Grabskiego nie udała się przynajmniej na razie.

O Banku Parcelacyjnym od lat trzech kursowały i kursują cicho i głośno różne wersje. Mówiono również o fałszowaniu bilansów, tymczasem okazało się, że z tych zarzutów nic prawie nie pozostało, a fachowi buchalterzy z Rady Nadzorczej nic karygodnego nie znaleźli.

Rozpisałem się w tej sprawie obszernie, gdyż jest ona głośną i ważną; posiada podkład wybitnie polityczny, ilustruje też wybornie perfidję narodowej demokracji.

Ludwik Kulczycki.

Dno hańby.

Natura ludzka umiała zawsze najwyższy polot uczucia i wyobraźni ściągać ku dołowi i urabiać na żer dla podłości. W średniowieczu, pod płaszczykiem pobożności i ku „powiększeniu chwały Bożej" popełniano czyny tak strasznego okrucieństwa, tak bezgranicznego bestjalstwa, że jeszcze po tysiącach lat łuna wstydu wisieć będzie nad czołem ludzkości.

Ale i doba współczesna obfituje we wzory zbiorowej ohydy, dokonywanej solennie dla publicznego rzekomo dobra. *Nacjonalizm* jest dzisiaj tym słowem magicznym, które w ustach pospolitego zbira posiada sakramentalne, rozgrzeszające brzmienie. Korzysta z tego bestja, drzemiąca na dnie duszy każdego człowieka z tłumu w nostalgji pół świadomych pożądań krwi, łupiestwa, przemocy i gwałtu. Nacjonalizm jest błogosławionym iście wynalazkiem dla rozwałęsanych po świecie pojęć i pełzających w najniższych jego kondygnacjach działaczy i trybunów wiecowych z duszą pachołów katowskich, z instynktami hyen i szakali.

Nacjonalizm waży się na wszystko. Niema ohydy, której by on nie uświęcił, niema bezprawia, którego by nie poparł. Pozwala on a nawet nakazuje zagarniać cudze ziemie i grabić cudzą własność; upoważnia i zachęca do znęcania się nad dziećmi, jak to się działo we Wrześni, i wreszcie popycha synów kulturalnej i rycerskiej Francji do pastwienia się gromadnie, w sposób plugawy, nad jedną bezbronną kobietą; mamy na myśli sprawę pani Curie-Skłodowskiej. T. zw. *affaire* Curie-Langevin jest bodaj najjaskrawszym przykładem deprawacji i zwyrodnienia pięknych uczuć patrjotycznych pod wpływem nacjonalistycznego wyuzdania. Sprawa to równie dla nas, Polaków, pouczająca, jak bolesna. Oto jej krótki zarys.

Dziennik *Le Journal* obwieścił był niedawno, że pani Curie-Skłodowska uciekła do Belgji z profesorem Langevin'em, który porzucił dla niej żonę i dwoje dzieci. Wieść, rzucona w formie sensacji ulicznej tak, jak się pisze o eskapadach gwiazd szantanu ze sławnym bokserem, wznieciła olbrzymie oburzenie zwłaszcza w świecie naukowym, rychło też ją odwołano. Jednocześnie syndykat prasy paryskiej zobowiązał wszystkie redakcje do poprawnego w tej sprawie milczenia, w imię honoru korporacji. I trzeba przyznać: najbardziej łase na sensację dzienniki wstrzymały język za zębami. Poczucie honoru, kurtuazja wobec kobiety zasłużonej i poważnej przeważy-

---

albo: „Kto różowy cycek Fryne
Pieści, jak cudną kalinę",

albo: „Lubię dziewkę gniewliwą, błyszczą oczy,
Jak u klaczy gdy zarży i się boczy"...

albo: „Nie miel ozorem popusta,
Groch kapusta, groch kapusta".

albo: „Niech mnie uśmierci kolka,
Że to jest sprawa Bolka".

albo: „Śród tartasu zbrakło czasu,
Nie zerwałem dotąd wianka,
Jak lelija kasztelanka:
Więc powrócić może śmiało,
Jeszcze ma panieńskie ciało".

albo: „Jęczmienia, owsa, jak gradu,
Pchają do przodu i zadu".

albo: Jak? bo gębę mam zamkniętą?
Gadaj ręką, zadem, piętą!"

— Uf!... pragniesz odsapnąć, czytelniku, od tych „przedziwności języka polskiego" i wołasz zbolałym głosem dość! dość!

Na różowy cycek Fryne
Dość!!! bo — zginę..
Dość! hej, dość —
Psiakość!...

Tak! poezja i liryzm pana Ignacowy straszliwą jest męczarnią dla ucha i sumienia artysty. Kościół katolicki mógłby poznosić posty i biczowania, suche dni i włosiennice, natomiast jako karę pokutną stosować odtąd i jedynie rymy Grabowskiego: jesteśmy pewni, że każdy wiersz przyniósłby duszy cierpiącej siedem lat odpustu...

A jednak! a jednak..

A jednak mając wybór narzucony między poezją jego, a jego artykułami publicystycznymi, powiemy: niech raczej płodzi rymy, byle rzucił pióro publicysty, niech raczej płodzi rymy, i niechaj na miłosierdzie boże liczy, czekając Sądu Ostatecznego.

Bo przeciwko poezji największego śród sędziów gminnych dramaturga możemy się, bądź co bądź, bronić; mamy wreszcie sposoby ucieczki. Możemy zaszyć się przed nią w Pińczowie, w Kiernozi, lub w głuchej kniei pod Rypinem (*similia similibus curantur!*) i możemy przywdziać na się skórę hipopotama, możemy, wreszcie, od autora pożyczyć własnej jego skóry — zdrowego chama, i już wrażliwość nasza od cierpień wszelkich stanie się bezpieczna.

Ale jakże tu uchronić się człowiekowi przyzwoitemu od pocisków publicysty, który w ten sposób dowcipkuje: „Wprawdzie wszystkie trzy rzeczowniki: *Postęp, Polska, Palestyna*, rozpoczynają się na głoskę P, lecz i t. d... [1])

[1]) Patrz w „Tygodniku Illustrowanym": *Niewdzięczni goście.*

ły nad zmysłem spekulacji, a nawet nad żyłką dziennikarską, równie trudną do pokonania, jak instynkt łowiecki w polu i lesie.

Ale część prasy wyłamała się z pod tej klauzuli. Odrzucono precz skrupuły, podeptano względy przyzwoitości; francuska liga nacjonalistów ruszyła do boju, poprzedzana potrójnym łańcuchem forpoczty rojalistycznej, antysemickiej i klerykalnej. Trudno o widok wstrętniejszy: sfora najdzikszych w psiarni ludzkiej buldogów, kundlów, brytanów z wyciem radosnym rzuciła się na jedną kobietę i zaczęła ją szarpać.

Na czele kampanji poszły głośne pisma: *La Libre Parole*, *l'Action Française*, *l'Univers*, *la Patrie*. Otwarto znów cuchnące podziemia Paryża; przedsmak niebywałego skandalu przyjemnie załaskotał nozdrza przyczajonej w człowieku bestji; weterani sprawy Dreyfusa jak jeden mąż stanęli do apelu, tym razem prócz sakramentalnych wezwań *a bas les Juifs*! rzucając na bruk Paryski nowe, potworne hasło: *a bas la Polonaise!*

Ogłoszono listy intymne Langevin'a i Curie ku wielkiej uciesze gawiedzi i ku strapieniu całej, trzeba przyznać, poważnej prasy francuskiej. Stała się rzecz haniebna, niepowetowana. Nacjonalizm francuski, na granicy alzackiej układny, ostrożny i grzeczny, zwrócił się całym bojowym frontem przeciw uczonej Polce, która uosabia w danym wypadku najazd obcych żywiołów na Sorbonę, serce i mózg Paryża.

„W jaskrawym świetle tej sprawy — czytamy w tygodniku szowinistycznym *l'Oeuvre* — ujrzano wreszcie Francję w rękach bandy przybłędów (*le ramas de métèques*) którzy ją łupią, hańbią, poniewierają". A dalej: „Nietylko uczeni mężowie Sorbony zrzeszyli się w obronie pani Curie, nietylko pp. Perrin, Painlevé i Borel, zjednoczeni we spólnym spisku, ale i prefekt policji Lepine; przybiegli też z odsieczą byli ministrowie Millerand, Jan Dupuy i Poincaré, a wreszcie cała Rzeczpospolita, cały ten „świat ohydy" ujął się za cudzoziemką i na progu jej alkowy napisał: Sekret Stanu... A gdy i to niepomogło, wystąpił Izrael, uruchomił swoich lewitów, rębajłów i zabijaków, którzy wołają ku nam wyzywająco: nędznikiem i łotrem jest ten, kto takie rzeczy ogłasza!"...

Jakoż przywódcom skandalu powiedziano w szanującej się prasie kilka cierpkich słów prawdy, a najbuńczuczniejszy z nich, Leon Daudet z *Action Française* oberwał po uchu od współpracownika *Gil Blas'a*. Ale rozpętanej orgji skandalu i obmowy nic już nie wstrzyma. Listy pani Curie do kochanego przez nią człowieka, listy tak czułe, piękne, subtelne i wzruszające, stały się pastwą gawiedzi, przedmiotem cynicznych komenturzy i uwag bezwstydnych; rzucono je pod nogi ciżbie, wbito, wdeptano w błoto razem z codziennym opadem świstków brukowych!...

Sprawa oprze się w tych dniach o kraty sądowe i nie ulega wątpliwości, że pani Curie, której pomoc prawną zaofiarowali dwaj świetni mężowie stanu — Millerand i Poincaré — wyjdzie z niej ręką obronną. Ale któż naprawi niezmierną krzywdę, wyrządzoną Kobiecie i Polce?

Za sprawą nacjonalizmu, pozbawionego najprostszych ludzkich skrupułów, na kulturalnej Francji legła niezmyta plama.

Leon Gorecki.

BADANIA NAUKOWE.

Filozofja momentu.

3)

(Ciąg dalszy).

Widzimy więc, że wszystkie dotychczasowe systematy filozoficzne stawiały sobie nietylko cel zrozumienia czym jest filozofja, lecz także jakie są jej zadania, do czego prowadzi. Zastanówmy się teraz nad zagadnieniem, czym jest filozofja wogóle. Nie będziemy już brali w rachubę subjektywnego stanowiska twórców poszczególnych systemów z których każdy chciałby zmodelować filozofię na swój wzór

---

Cóż to jest? Ze swej strony moglibyśmy odeprzeć:

— „Wprawdzie wszystkie trzy rzeczowniki: Grabowski, gbur, głup..."—nie, dajmy pokój! nie wyliczajmy parenteli słownikowej pana Grabowskiego, bo to zawiodłoby nas zbyt daleko...

Albo:

„Przykład ostry, ale decydujący. Atakuje się kler—nie tyka rabinatu. To się nazywa librepenseuryzm" [2])

To ma być przykład przeciwko taktyce postępu i wolnomyślicielstwa?

Każdy wie, że tego rodzaju kłamstwo mogło było wyjść tylko z pod pióra mało umysłowo i moralnie poczytalnego drwala.

„Jezus-Maryjo,
Zaraz się pobiją!"

Ten „natchniony" i „wzniosły" okrzyk wkłada pan Grabowski w usta Władysława Jagiełły w swym opłakanym „dramacie" — *Grunwald*, w usta króla, modlącego się przed walną dziejową rozprawą. Widząc, jak ludzie ówcześni sulicą, kłonicą lub oszczepem władali, niby piórkiem, częstochowski nasz piewca Grunwaldu, zaczął piórem machać nakształt kłonicy.

Niechże się strzeże, aby w izbie swej lustra nie rozbił, ujrzawszy w nim swą rozhukaną furję — ignorancji, waleczny szał — swego nieuctwa!

Więc pan Ignacy Grabowski naprawdę nic nie wie o tym, że właśnie myśl wolna w Polsce zapoczątkowała krytykę judaizmu i żydostwa, i że wszystkie organy postępowe brały w niej udział?

Dyskusja w sprawie żydowskiej odbiła się szerokim echem w całej prasie polskiej, ba! wywołała ostrą ze strony żydów reakcję w prasie rosyjskiej i niemieckiej, a nasz pan Ignacy, jakby spadł z księżyca, nic o tym wszystkim nie słyszał, nic o tym nie chce wiedzieć.

Lecz nie mając o przedmiocie, w którym głos zabiera, najmniejszego pojęcia, jakże śmie wyroki ferować na ludzi oraz na instytucje, do których proga nie dorasta? Skądże czelności mu staje na to, by twierdzić, że „wolnomyśliciele nasi będą nadal pozostawać na żołdzie stronnictw politycznych, lig antyreligijnych i aljansów filosemickich"?

Nie będziemy podejmowali niewdzięcznego trudu informowania takiej jednostki, jak Ignacy Grabowski, o wyniku dyskusji całorocznej, tym mniej zaś pociągać go możemy do odpowiedzialności za słowa i czyny: ma on wszelkie powody, aby być nietylko z nas niezadowolonym, ale wskutek niezadowolenia i idącego z nim w parze zaślepienia wyjść aż poza granice — uczciwości.

Niegdyś pono był on sędzią gminnym atoli dawno temu rozszedł się on już nietylko z kodeksem etyki, ale i z kodeksem przyzwoitości. Pozostała mu jedynie: Gminność

---

[2]) Tamże.

i narzucić go innym. Nie uczynimy tego; byłoby to bowiem przelewaniem z próżnego w puste, lecz rozpatrzymy filozofję i filozofowanie ze stanowiska jaknajbardziej objektywnego, metodą psychologiczno-przyrodniczą. Uzasadniam użycie metody psychologicznej tym, że filozofja, jako twór człowieka i jego umysłowości podlegać może jedynie badaniu opartemu na tej metodzie. Stawiamy dwa pytania: W jakim stosunku stoi filozofja do człowieka i jego władz psychologicznych? A drugie: Czym jest filozofja?

Badanie nasze dotyczyć będzie filozofji jako objawu psychiki ludzkiej, czegoś co w istocie swej wyczekuje rozwiązania, jako faktu istniejącego od narodzin pierwszej myśli. Nie będziemy zaś jej stawiali celów, ponieważ nie jest oderwaną od życia i to, co chcielibyśmy jej wskazać za cel, musi istnieć już jako konieczność przyczynowa w nas samych; po drugie należy się przekonać ściślej, czy wogóle jakie kolwiek teologiczne osądzanie jej ma rację bytu.

Psychologizm jest tu potrzebny do lepszego ujęcia przedmiotu badania. Dla unaocznienia możemy wziąć za medyum jakiegokolwiek człowieka myślącego i wyobrazić sobie, że myśli jego, funkcje psychiczne nie pozostają do subjektywnych naszych przekonań, wiary, pojęć, w żadnym stosunku, że przystępujemy do czystego stwierdzenia faktu. Metoda ta, nawiasem mówiąc, jest stara, używał jej już Condillak w „Traktacie o wrażeniach zmysłowych". Tak też należy badać istotę filozofowania i filozofji.

Rozpatrywane w ten sposób, okazują się one zjawiskami należącymi ściśle do naszej wewnętrznej rzeczywistości, które są umotywowane tysiącem danej jednostce tylko właściwych cech, jakościowych i ilościowych, tak dalece, że różnice zachodzące np między mną, a każdym innym człowiekiem, są jednostkowo nieobliczalne; myśli moje, a myśli jego mają zupełnie odrębny podkład treści tak, że zrozumienie jest wykluczone. Jest-to to co już Weninger i Bergson powiedzieli, że aby móc zrozumieć drugiego człowieka, trzebaby być nim; aby zrozumieć wirowy pęd koła, trzebaby być tym kołem. Filozofja nie posiada reguł w prawach przyrody, ani w świecie realnym, lecz istnieje jako funkcja metodyczna, układ myślowy wyobrażeń poszczególnych podciągniętych pod ogólne pojęcia. Dlatego to mogła rozwinąć się dopiero od chwili, gdy powstała konieczność i odpowiednia zdolność abstrahowania w umyśle ludzkim; poprzedziła ją, jak to już zaznaczyliśmy, religja stanowiąca pierwszy punkt rozwoju w dziejach myślącej ludzkości. Świat wrażeń dobywał z rodzimego kruszcu duszy pierwotnego człowieka zaczątki zdolności i abstrahowania i tam je rozwijał; pierwszym objawem tej zdolności jest łączenie grup zjawisk podanych w formie boga w formie jednakowoż wymagającej uzewnętrznienia naskutek słabej świadomości i braku dokładnej autoanalizy. Rzutowanie własnych abstrakcji na zewnątrz i ich personifikacje — to moment narodzin każdej religji.

Łączność filozofji z religją datuje się od zarania ludzkości. Badania etnograficzne i folklorystyczne wskazują, że religja była czymś identycznym z filozofją, z myślą o świecie. Świat mitów, zawrotnych fantazji, oto filozofja pierwotna płynąca z duszy tęskniącej za rozwiązaniem sfinksowych zagadek wszechświata. Świat ten wyobrażeń i fantazji był bytem realnym, był tak samo tłumaczeniem rożnorodności zjawisk w formie abstraktów spersonifikowanych, jak każdy zresztą inny system religijny jest przełożeniem świata odbijającego się w duszy ludzkiej na żyjące abstrakcje.

Filozofja jest czymś ściśle związanym z naturą naszej umysłowości, a wyeliminować jej nie możemy, dopóki istnieje poznawanie, jest ona bowiem, jego nieodłączonym czynnikiem.

Filozofja jest formą ujmowania świata. To znaczy, że jest ona sposobem kojarzenia zjawisk rzeczywistości bezpośredniej w formie abstraktów, którymi operuje. Treścią jest życie szczegółowe, pojedyncze wrażenia, wyobrażenia; formą zaś są ich abstrakcyjne skojarzenia, to też gdyby komuś chciało się nazwać filozofję nauką o rzeczywistości musiałby zidentyfikować funkcję psychiczną z jej treścią, co jest niemo-

---

To też wskrzeszając poraz ostatni jedną jeszcze cytatę z tak słusznie na zapomnienie skazanego „Sokoła" rzekniemy do pana Grabowskiego ustami jego własnego bohatera: „Zamknij pysk, będzie zysk! Nie miel ozorem popusta!"

Schyłek „Tygodnika Illustrowanego".

Jeżeli sam pan Grabowski swą inteligencją ekonoma i stylem pisarza prowentowego wywiera wrażenie przedewszystkim śmieszne, to, natomiast redakcja *Tygodnika*, która nietylko bazgroty jego zamieszcza, ale się nimi jeszcze chełpi, czyni wrażenie nad wyraz smutne i przykre.

Odkąd oczy na wieki wieków zamknęli stary Robert Wolff i Gebethnerowie, najwybitniejsza niegdyś w Polsce „ilustracja" coraz widoczniej jęła się staczać na poziom obrazkowych sensacji brukowych. Redaktorowie obecni pp. Wolff Józef i Oppman Artur dążą już tylko w zdyszanym pościgu, aby dopędzić liczbą ogłoszeń i miarą ulicznego zgiełku świetnie reklamowany, lecz płytki i lekki jak plewa *Świat* pana Krzywoszewskiego. Zapomnieli o dawnej sławie *Tygodnika*, którego niegdyś zeszyt każdy, czy to na obczyźnie, czy w kraju, w mieście lub na głębokiej wsi, witany był wdzięcznie jako gość wykwintny, wnoszący pod dach razem z sobą myśl współczesną, kulturę artystyczną, smak dobry, odblask wielkiej sztuki i literatury.

Gdy atoli z redakcji ustąpił literat tej miary, co Ignacy Matuszewski, szczytne tradycje owe zgasły bezpowrotnie.

Po Ignacym Matuszewskim ster kierownictwa objął p. Oppman (Or-Ot); skutki kierownictwa tego nie omieszkały rychło się uwydatnić.

Naprzód zaczęto grób kopać sławie Słowackiego.

„Kryształowy puhar" Mickiewiczowskiej poezji wręczono rękom, niezdolnym nawet do utrzymania zwykłego kieliszka. [1])

Z grubijańską zapamiętałością wszczęto brudną i reakcyjną kampanję przeciwko Stanisławowi Wyspiańskiemu, która to kampanja w sercu Polaków odbiła się zgrzytem brutalnym, jak gwizd na świeżej mogile.

Gdy tak dłonią herostratesową redakcja polskiego *Tygodnika* plugawiła pamięć imion co szczytniejszych w narodzie, doszła wreszcie w swej barbarji do tego, iż nie zawahała się ciosu „na odlew" wymierzyć największemu malarstwa naszego mistrzowi, Janowi Matejce.

Oto pp. Wolff i Oppman, chcąc widocznie rzucić cień na twórczość genjalnego Polaka, w nr. grunwaldzkim pomieszczają jakąś marną l i t o g r a f j ę, podają ją za stary d r z e w o r y t i starają się wywołać w narodzie fatalne podejrzenie, że mistrz nasz nieśmiertelny w z o r o w a ł s i ę na tym własnego swego dzieła nędznym plagjacie.

Ten fakt ostatni jest tak wymowny i zastrasza-

---

[1]) Patrz: Ignacy Matuszewski „Weyssenhoff i laury Wyspiańskiego".

żliwe. Avenarius, opierając się na naukowości filozofji, twierdzi, że naukowość jest uwarunkowana powszechnością cech kojarzonych. Zdawałoby się, że jest to odwrót w kierunku „rzeczy samych w sobie" nie mamy bowiem pojęcia o równości cech kojarzonych w abstrakcie u innych ludzi, a jeśli mamy takowe, to tylko w odniesieniu do siebie; dla nas też, jako indywiduów poszczególnych filozofja może być naukową, powszechnie zaś nie.

Ten ścisły stosunek myślenia do naszej wewnętrznej rzeczywistości, ta niemożność czynu, ani też żadnego innego ustosunkowania się do świata, jest przyczyną, że nie możemy się obejść bez kategorji filozoficznych w życiu. Stanowią one formę, w którą musimy wkładać naszą przeżytą treść, dla zachowania ciągłości swego bytu i jest to koniecznością wewnętrzną zachowującą w równowadze nasze postępowanie i każdy czyn.

Po takim określeniu zrozumiemy wiele zjawisk w historji myślenia, które dotychczas tłumaczono zapowierzchownie lub też zakrywano gołosłownymi twierdzeniami.

Przedewszystkim owo parcie ku metafizyce wlokące się za filozofją, napróżno odpierającą ataki, aż do czasów dzisiejszych, któremu nie zdołał się oprzeć nawet burzyciel wszelkiej metafizyki Kant. Czymże jest bowiem metafizyka? Niczym innym jak stawianiem idealnych granic świata, niepodlegających empirycznej indukcji, stawianiem założeń niekiedy fantastycznych, a więc czystą formą.

Bóg Kartezjusza, Spinozy, idee Platońskie, założenia psychologiczne neo-idealizmu, ponteizm Giordana Bruna, oto najwymowniejsze przykłady świadczące o urojonej konieczności przyjęcia postulatu metafizycznego, w celu orjentowania się w świecie zjawisk. To, co dziś skłania Münsterberga do żądania od filozofji układu idealnych kryterjów wartości, to samo skłoniło i wielkich metafizyków do rozwiązania zagadnień wszechświata za pomocą idei metafizycznej.

(d. n.) *Stanisław Baczyński.*

POEZJA.

Saga japońska.

W dwudziestym pierwszym roku panowania mikada Juriaku (478) w prowicji Tangu chłopiec Uraszima z Suminoje, potomek bóstwa Szimanemi, udał się na rybaczej łodzi do „chorai" — wysp nieśmiertelności. Od tego czasu w przeciągu trzydziestu panowań, od V do IX stulecia nie było o nim żadnej wieści. Aż dopiero za panowania mikada Junna (825) Uraszima wrócił, lecz znowu zginął bez śladu — gdzie i jak, niewiadomo...

Tyle tylko opowiadają o najbardziej umiłowanym bohaterze poezji japońskiej oficjalne annale państwa „Kodziki" i „Nichongi". Jednak nieskończona, bo z każdym rokiem zwiększająca się liczba pięknie malowanych na jedwabiu „Kakemono", czarująco dźwięcznych „ut", tych miniatur poezji japońskiej, oraz tysiące wciąż nowych zagadek, sentencji i aforyzmów — aż nadto wskazują na przywiązanie narodu do tej arcyjapońskiej sagi, jaką jest opowieść o rybaku—Uraszimie.

Różni różnie ją opowiadają: wielu poetów i artystów natchnęła jej treść, prosta, jak „baśń wędrownego gawędziarza", a głęboka, jak „ostatnie słowo umierającego mędrca". W takim porównaniu ukazują nam ową legendę japońscy pisarze, z pietyzmem zawsze, po raz setny i tysiączny, szukając w niej, jak w tajemnej księdze, ciągle nowych wskazań i myśli.

Najbardziej świeżą, bo w tej formie, w jakiej legenda wylała się ongi z ust japońskiego ludu, jest najstarsza jej wersja ze zbioru „Manjo-szu", zapisana w V wieku naszej ery:

Wiosną w pochmurny dzień
do Suminoje idę... Tam, na plaży,
gdy szary padnie cień,
stara opowieść słodko mi się marzy

---

jący, że zdaje się przekraczać granice barbarzyństwa artystycznego, i sięgać w dziedzinę *tendencji*. Przecież absolutnie przypuścić nie można, aby redakcja pisma obrazkowego, mająca jako doradcę rytownika, Józefa Holewińskiego, nie umiała odróżnić litografji od drzeworytu i to starego, gdy nadomiar w tym samym n-rze pomieściła reprodukcję istotnie starego drzeworytu. Dziwić się tylko wypada, że malarze tego „kunstgryfu" nie spostrzegli. Nadmieniona przez nas tendencja dałaby się tedy ująć w słowa następujące: „Polacy! cała wasza sławna *Bitwa pod Grunwaldem* jest tylko plagjatem"

Jeżeli panowie Oppmani i Wolffowie tak wiele drukują o Żydach jako „gościach niewdzięcznych" może należałoby się przyjrzeć nieco bliżej im samym, jako „gościom wdzięcznym". Uczynimy to niebawem.

Polszczyzna a słownik mowy naszej.

„Kto zachowuje język, ten zachowuje klucz do uwolnienia narodu z jego kajdan" — mówi pieśniarz ludu prowansalskiego — Mistral...

I rzecze, o ile w tę sprawę głębiej wejrzeć, słusznie.

Boć język to spoidło rozproszonych i odbiegłych od Metropolji swojaków, to wskaźnik stanu duchowości narodowej, to owoc trudów i przeobrażeń przez stuleci szereg uświęconych, to niezbity dowód istności narodowościowej pewnych dopiero ujawniających swą samowiedzę — grup etnograficznych, budzących się do życia kulturalnego, społecznego i politycznego (naprz. Litwini, Ukraińcy i Białorusini).

Społeczeństwo stać musi na straźnicy czystości mowy swej.

Niestety, władamy naogół polszczyzną — źle, czego wymownym dowodem niezliczone mnóstwo błędów językowych w ogłoszeniach. Plugawi się również niezgorzej piękną szatę mowy polskiej na łamach różnych dzienników i czasopism; ba, nawet przedstawiciel kultury artystycznej — teatr — nie dba o skończenie poprawne oddanie strony językowej przez aktorów.

Dziennikarze zalewają wprost mowę naszą obcymi naleciałościami, usuwając rozmyślnie czy też bezmyślnie odpowiedniki polskie a wzamian używając cudzoziemszczyzny.

Walkę tej zachłannej a wszędy się wdzierającej, że tak rzeknę, „rozpuście" języka należy wydać i to jaknajrychlej!

Ważnym w tej sprawie czynnikiem może się stać słownik, stanowiący jako taki zbiór bogactw i skarbów mowy naszej.

Oto jak odzywa się o pożytkach i znaczeniu słownika p. Wład. Niedźwiecki nasz znany językoznawca: „Najważniejszym z objawów odradzającej się po niemieckim potopie narodowości czeskiej było zjawienie się słownika Jungmana. Ukazanie się u nas słownika Lindego przyjęto również jako ważny wypadek w życiu narodu".

Jeśli ubiegłe stulecie posiadło polski słowozbiór Lindego, a na krasę i ogładę mowy naszej wpływ bez-

We wsi, co Sumonoje zwie się,
onego czasu, jak wieść niesie,
żył stary rybak Uraszyma,
(równego dotąd nigdzie niema)
lecz syn był jeszcze większy zuch...
Ojciec zeń wielką miał pociechę,
ponieważ robił mu za dwóch
i pod ojcową znosił strzechę
tyle katsuwo, [1]) sar [2]) i taj, [3])
że już o kilka dobrych staj
od domu czuć rybami było,
tyle się zawsze ich wędziło...
Raz oto młody Uraszyma
(młodych się stale licho trzyma)
na łodzi z żaglem przez wichr wzdętym
nie dla katsuwo, sar i taj
puścił się w morze tam gdzie skraj
morski się zlewał z firmamentem...
Tak ubiegł tydzień prawie cały,
brzegi mu dawno poznikały,
ale ciekawe oczy młode
pilnie patrzyły wciąż na wodę,
choć nie widziały nic, gdy wtym
boginka morska, cudów cud,
w kimono tęczobarwnym swym
wynurza się z perłowych wód...
Ledwie ją ujrzał Uraszyma,
już serca się kochanie ima,
a i boginka patrząc weń,
doznała także słodkich drżeń,
bo młodzian-zuch był tego warty.
Poczęły się uśmiechy, żarty,
potym błagania i zaklęcia,
wreszcie pieszczoty i objęcia...
I oto płynie Uraszyma
razem z boginią w łodzi swojej
(zuch się niczego wszak nie boi)
do pięknych wysp nieśmiertelności,
gdzie w boskiej władzy wody trzyma
pan nieskończenie wielkich włości
bóg morza, ojciec ukochanej...
Tam jaspisami wysadzany
stał cudny pałac, kuty z głazu...
Boginka wiedzie go odrazu
na lśniące blasków grą pokoje
i tak mu prawi:
— Tu we dwoje
w miłosnym będziem trwać kochaniu,
nie myśląc nigdy o rozstaniu,
wśród cudnych wysp nieśmiertelności,
gdzie wiecznie młode szczęście gości,
a szloch nie spiera nigdy łon,
nie znana starość, ból i skon...
I małżonkowie od tej chwili
w niezamąconej zgodzie żyli
dnie im mijały wśród pieszczoty,
bo sen miłości snuł się złoty.
Lecz człowiek, choć jest mu najlepiej,
tęsknoty nigdy się nie zbędzie;
a gdy się ona serca czepi,
to jak kleszczami wciąż je trzyma
i wlecze z sobą gdzie chce, wszędzie...
Tak się też stało... Uraszyma
pewnego razu mówi żonie:
— Dobrze mi tutaj bardzo z tobą,
lecz dawnom nie był w swojej stronie,
drogim chcę przyjrzeć się osobom:
ojcu i matce, więc bez swaru
zwól mi odjechać w łaskawości,
z powrotem będę po dniach paru.
Boginka, dobra, zacna żona,
choć serce pęka jej z żałości,
nie swarzy się, lecz załzawiona
szkatułę daje mu niedużą,
tak go żegnając przed podróżą:
— Idź, skoro taka twoja wola,
lecz nie otwieraj tej szkatuły,
jaka cię kolwiek spotka dola,
bo już nie wrócisz nigdy do mnie...

[1]) katsuwo — pstrąg.
[2]) sara — morski jeż
[3]) taja — morski leszcz.

---

pośredni wywarli bracia Śniadeccy, Mochnacki, Staszyc, K. Brodziński, czemuż społeczeństwo wieku dwudziestego miałoby się „odznaczyć" niechęcią względem spraw czystość i zachowanie mowy polskiej mających na celu?

Miejmy jednak niepłonną nadzieję, iż „Słownik języką polskiego" zachwiany chwilowo niedoborem pieniężnym, a przedstawiający się jako twór pomnikowy, zyska liczny zastęp przedpłatników i przyjaciół...

Słownik ów, wydawany pod kierunkiem p. p. Niedźwieckiego i Króla, jest dziełem zarysowującym się już przed naszymi oczyma nader poważnie.

Oto zdołał on w ciągu trzynastolecia zebrać i objaśnić na swych łamach zwyż 240,000 wyrażeń.

To olbrzymie bogactwo językowe uderza nas.

Jakże nędznie przedstawia się w porównaniu z tym bogactwem ubogi zasób wyrazów, którym zwykł nasz „umysłowiec" rozporządzać. P. Niedźwiecki skarży się również na obojętność ludzi pióra, tak niestety często niebacznych na jakość stylu. Pono świeczniki współczesnego polskiego piśmiennictwa gasną gdy chodzi o pomoc czynną dla tego pomnikowego dzieła, którym jest słownik mowy polskiej.

Są jednak i mocarze mowy naszej; ona przez nich oddana — błyszczy się i mieni tysiącem barw i odcieni, rozbłyska w królewskiej swej krasie, nabiera giętkości i czaru, zadziwia bogactwem wyrażeń i zwrotów.

Skąd ta umiejętność, to znawstwo odtworzenia jej w tak wabnej szacie?

Nadewszystko płynie ona z umiłowania szczerego a głębokiego mowy ojczystej, tej mowy: Kochanowskich, Słowackich, Mickiewiczów i Wyspiańskich, a potym co najważniejsze, z poznania.

Kluczem poznania języka to jego słowozbiór• Żeromski największy Mistrz współczesnego słowa polskiego nanizanego jakby perły w jego gienjalnych utworach — najlepiej świadczy o słuszności wywodów tych czyniąc ze słownika języka polskiego nieodstępnego swych prac — druha i poradcę...

Z tej łaskawości rad ogromnie
popłynął do wsi Uraszyma,
a słodkie mary mu się snuły,
lecz kiedy przybił do wybrzeża,
patrzy i sobie nie dowierza,
napróżno wodzi wkrąg oczyma,
pustka dokoła, śladu niema
z ojcowej chaty, tylko fale
na brzeg wdzierają się zuchwale .. [1])
Zapłakał gorzko Uraszyma,
bo w takiej chwili któż się wstrzyma?
i już nie pomny zaklęć żony
(z bólu miał umysł zamącony)
chwyta szkatułę i tak woła:
— Żona mi poto dała ciebie,
byś ratowała mnie w potrzebie,
więc wróć, co było, wsie i sioła
niech staną znowu na tym brzegu
i dom ojcowy w chat szeregu.
Oto pokrywę twą podnoszę,
w gorzkiej żałości ratuj proszę!...
Lecz cóż się stało? Opar mglisty
zwolna się sączy ze szkatuły,
i biały obłok, jak śnieg, czysty
wzbija się w górę, gdzie się snuły
całe gromady ich płynące
do cudnych wysp nieśmiertelności,
tam, gdzie się wiecznie złoci słońce
i wiecznie młode szczęście gości...
Widząc, że chmurki już nie wstrzyma.
zadrżał nieszczęsny Uraszyma
i nadaremnie prężył dłonie
hen w niedościgłe niebios łonie...
A kiedy przejrzał prawdę całą
na ziemię padł z rozpaczy, z szału,
i piasek gryzł i jęczał głucho
lecz nic nie wskórał próżną skruchą,
bo chmurka płynąc ciągle dalej
rozpierzchła się w błękitów fali...
I oto poczuł Uraszyma,
iż nagle starość go się ima,
bruzdami marszcząc mu jagody
i srebrząc włos na głowie młodej —
a wraz ze starością cichej skrycie
przypełzła śmierć i wzięła życie...

———

O jakże często głupi człek,
nie pragnąc własnej zguby,
powstrzyma sam swej łodzi bieg
lub wepchnie ją w przeguby!
A potym życie klnie i świat,
lecz nic to nie pomoże,
bo chociaż wrócić byłby rad,
już go pochłania morze...

Oto legenda o rybaku-Uraszymie, prosta, jak „baśń wędrownego gawędziarza", a głęboka, jak „ostatnie słowo umierającego mędrca".

Posłuchajmy, jakie refleksje nasuwa ona Lafkadiowi, jednemu z przybranych, lecz wiernych i oddanych synów Japonji:

[1]) Według japońskich wierzeń ludowych rok na wyspach nieśmiertelności stanowi sto lat życia na ziemi.

— Milę za milą — pisze Lafkadio w swej książce p. t. „Dusza Japonji" — jechałem wdłuż plaży, a oczy moje tonęły w nieobjętym świetle. Wszystko było osnute i zalane niebieską barwą, cudną i przelewającą się, jak perłowa koncha. Lśniło niebieskie morze, zlewając się z niebieskim przestworem firmamentu; niebieskie bryły gór Chigo błyszczały na tle niebios, jak olbrzymie niebieskie szafiry. Wszędzie dokoła szerz i niebieskość! Tę symfonję niebieskich odcieni przerywały tylko oślepiająco białe letnie obłoki, nieruchomo zwisające nad szczytami gór, jak duchy. Od nich na wodzie tworzyły się śnieżyste drżące plamy; zdawało się, że hen, gdzieś w oddali okręty ciągnęły za sobą długie nici — jedyne niespokojnie drgające gzygzaki na tle spokojnego i piękniejszego nad piękno krajobrazu. Co za boskie obłoki! Białe, zda się, dusze obłoków, zatrzymujące się, by wypocząć wśród drogi do błogiej, cichej Nirwany. A może to był mglisty dymek, wypuszczony przed tysiącem lat ze szkatuły rybaka—Uraszimy?

Pomyślałem o nim. Zdawało mi się, że widzę cudnolicą córę morskiego władcy, wystrojoną na jego przyjęcie. Długo czeka go, nadaremnie... Wtym wraca obłok, nielitościwy obłok, zwiastujący, iż kochanek ją zdradził. I widzę, zda się, rozpacz morskiej boginki i niezgrabne morskie potwory ją pocieszające. Lecz saga o tym nie mówi, więc ludzie żałują jednego tylko Uraszimy.

Czy sprawiedliwie, iż żal nam tylko Uraszimy? Prawda, bogowie go zaślepili, lecz kogóż nie zaślepiają bogowie? I czyż całe nasze życie nie jest tylko zaślepieniem? Zaślepiony Uraszima stracił wiarę i otworzył szkatułę. Potym zmarł bez mąk i bólu, a naród wywyższył go, stawiając mu nagrobek mogilny. Czemu i poco go żałować?... Teraz takie dramaty odbywają się zupełnie inaczej. Jeżeliśmy się nie posłuchali swoich bogów, skazani jesteśmy na życie dalsze i przeżycie całej głębi cierpień i męki; my nie znamy szczęścia zamierania w odpowiednim momencie; z nas nie czynią maleńkich bożków z nieodbieralnymi, świętymi prawami...

Poco żalem znaczyć nierozsądny czyn rybaka—Uraszimy, który tak długo zażywał błogości wspólnie z bogami? A jednak nam go żal! Czy nie tu kryje się rozwiązanie tajemnicy? To współczucie—samowspółczucie, i dlatego legenda o rybaku—Uraszimie to legenda o mirjadach dusz. Myśl taka snuje się tylko w pewnych okresach czasu, wraz z lazurowym światłem i muskającym wiaterkiem, a zawsze, jako cichy wyrzut. Zbyt związana jest ona z pewną porą roku i dlatego bezwzględnie związana jest czymś realnym z naszym własnym życiem i z życiem przodków. Na czym jednak polegają te realne więzy? Kim była córa morskiego władcy? Gdzie znajdowała się wyspa wiecznej wiosny? Co znaczy obłok, ulatujący ze szkatuły?...

Marzy mi się zaczarowany kraj i cudowne czasy, gdy słońce i księżyc były większe i jaskrawsze. Czy było to w tym życiu, czy w innym — napewno nie wiem, lecz wiem, iż niebo było błękitniejsze i bliżej ziemi, prawie takie, jakim się wydaje ponad masztami okrętu, płynącego do kraju podzwrotnikowego lata. Morze było żywe, mówiło, a gdy wiatr mnie omusnął, krzyczeć chciałem z zachwytu. Jeszcze raz czy dwa razy w owe boskie dnie, spędzone w górach, były momenty, gdy zdawało mi się, że ten sam wiatr mnie głaszcze, lecz był to sen, wspomnienie, ułuda...

W tym kraju były czarujące obłoki, a barwy ich nie sposób opisać słowami. Pamiętam, że i dnie wtedy były dłuższe, i każdy z nich był dla mnie nowym cudem, nową rozkoszą. I w tym oddalonym czasie, w tym dalekim kraju łaskawie rządziła ta, która mnie kochała i darzyła szczęściem. Czasami nie chciałem, wyrzekałem się jej szczęścia, a wtedy ona bardzo cierpiała pomimo swej boskości. I pamiętam, żem

wtedy całem sercem pragnął wywołać w sobie żal i skruchę...

Kiedy dzień gasł i przed wyjściem księżyca następowała głęboka, milcząca ciemność, ona opowiadała mi bajki, — których słuchałem z zapartym oddechem, nigdy już więcej nie słyszałem takich bajek! A kiedy nasza błogość dochodziła aż do bólu, ona nuciła cudowną pieśń, kojącą mękę i zacichałem. Lecz nastąpiła godzina rozłąki; gorzko płacząc, podarowała mi ona talizman i rzekła:

— Nigdy nie zatrać go, gdyż on zachowa ci młodość i da możność powrotu do mnie!

Lecz ja nie wróciłem... Szły lata za latami, aż razu pewnego zrozumiałem, iż zgubiłem talizman; przyszła starość — śmieszna i smutna starość"...

Czy można piękniej i wymowniej zanalizować treść sagi o rybaku—Uraszymie?

Remigjusz Kwiatkowski.

KRYTYKA.

Rehabilitacja niedołęgi.

TEATR ROZMAITOŚCI. **Straceńcy** — sztuka w 4-ech aktach Tadeusza Konczyńskiego.

Nawet najzdolniejszy pisarz sceniczny nie uniknie w najpoważniejszej sztuce współczesnej takich śmiesznostek jak to, że kiedy dwie osoby rozmawiają z sobą, wreszcie rozmowa się kończy i jedna osoba wychodzi, to tworzy się po niej próżnia, w którą momentalnie z jakich drzwi bocznych wpada nowa osoba. Albo jak trudno pogodzić smutną treść sztuki z upodobaniem artystek do pięknych strojów. Nad bohaterką chmury się gromadzą, jest coraz bardziej nieszczęśliwa, lecz martwi się w sukni coraz to piękniejszej... Dawniej w takich wypadkach rozdzierano szaty i posypywano głowę popiołem.

Sztuka p. T. Konczyńskiego zbudowana jest nadzwyczaj efektownie, olśniewająco techniczne. Ma ona sceny szarpiące nerwy, lecz, zakrojona na dramat, spełza nieustannie na poziom komedji. Jest to taniec dwuch samców koło jednej samicy. Jeden z samców w chwili stanowczej okazuje się niedołęgą. Tu autor stawia pierwszy swój krok fatalny i zamiast uznać w nim niedołęgę i skierować sztukę po drodze komedjowej, uznaje w nim człowieka szlachetnego i robi ze sztuki dramat. Archeolog Sawicz ma piękną piękną żonę, o której nic nie wie. Nie wie, że ta prowadzi romans z Janem Otawskim. Niewie, że Otawskiemu się oddaje. Nie wie, że oddaje mu się nie z miłości, lecz z uległości. Słowem—typowy mąż z komedji, ślepy aż do śmieszności, nieprzenikliwy, nieumiejący czytać w oczach kobiety, którą kocha. Ustępuje on przez szlachetność jak chce autor, swą żonę Otawskiemu. Po dwu latach przekonywa się, że jego ex-żona Łucja nie jest z Otawskim szczęśliwa. Ten ją tyranizuje, nie chciał jej pozwolić na dalsze kształcenie się w śpiewie, zabił w niej człowieka (?) Lecz widz ani trochę nie widzi tego morderstwa: Łucja przed zaślubieniem Otawskiego była istotką bez woli i taką pozostała. Tylko histerja zrobiła postępy. Lecz autor nieostrożnie rzuca słowami, które widz musi mu z powrotem odrzucać. Gdy Sawicz dowiedział się, że Łucja wyszła za Otawskiego, nie kochając go — postanawia ją wyzwolić. Zaczyna się historja, którа mogłaby mieć tajemny tytuł: Rehabilitacja niedołęgi. „Szlachetny" Sawicz chce porwać Łucję niezdecydowaną jak zawsze, lecz Otawski wraca przed czasem, zamiar udaremnia, a wszelkim przekładaniom, aby się wyrzekł Łucji, opiera się. Wtedy zniecierpliwiony Sawicz strzela do bezbronnego wroga i zabija go.

Gdzież tu szlachetność? Jest zaciętość, zniecierpliwienie samca, któremu zdmuchnięto z przed nosa, samicę z pięknymi oczyma i nic więcej. Autorowi nie udały się dwa zamiary: zrobić z Otawskiego człowieka nikczemnego, a z Sawicza szlachetnego; postawić tych dwuch ludzi jakby na krańcach przeciwnych wartości. To było w zamiarze, lecz w sztuce ci dwaj przeciwnicy są niemal identyczni. Obaj kochają się w jednej kobietce, w chorej kobietce, nieodpowiedzialnej niemal za swe czyny i duchowo pospolitej. Obaj poza nią nie widzą świata, nie uczestniczą naprawdę w życiu. Dla obu ona jest deską ratunku. Lecz Otawski nie jest przynajmniej śmieszny. Sawicz jest.

Co uderza w dramatach współczesnych, to ubóstwo materjału ludzkiego w człowieku tworzonym. Jakieś skąpstwo niewczesne powstrzymuje ręce autorów i każe im odmierzać naparstkiem zasób duchowości w bohaterze. Porównywano nieraz ducha ludzkiego z morzem, dla jego nieprzebranego bogactwa. Lecz pod ręką autorów dramatycznych to morze staje się strumykiem wysychającym. Pomijam kilka figur komedjowych, jak fabrykant Offheim, gdzie skarykaturowanie, okrawanie z ducha, jest celowe, lecz oszczędne wymierzanie ducha bohaterom dramatycznym, jak obaj panowie-rywale i Łucja w sposób nieunikniony prowadzi do poczucia ubóstwa, niekompletności, oschłości. Gdyby np. Łucja pomimo swego charakteru miała jakąś bujność, czar choćby czysto żywotny, to nikomuby z widzów przez myśl nie przeszło: czemu właściwie dwaj panowie tak się o nią dobijają.

Lecz, aby nadać każdemu z tych ludzi więcej ludzkości, trzebaby może poświęcić dużo z wirtuozostwa techniki, połamać misterność rusztowania. Tę misterność trzeba połamać. Zamiast służyć ku czemuś, stała się ona przedmiotem marzeń i zawiści dramaturgów, bóstwem, na cześć którego składa się w ofierze człowieka.

L. Choromański.

Talent bez indywidualności.

(*J. Weyssenhoff*: **Soból i Panna**. Cykl myśliwski).

Rozmaite rodzaje łowów na tle przyrody litewskiej—oto treść najnowszej książki Weyssenhoffa. Łowy opisane z zapałem urodzonego myśliwca. Opisy przyrody świeże, pachnące. Książka robi wrażenie obrazów życia niemal egzotycznego — tak daleka jest w swym charakterze od gwaru miejskiego. Daje wieś, las, pole w tym, co jest w nich miłe, zdrowe, spokojne, wegetujące. Polująd waj młodzi obywatele—niestety obaj banalni w typie. Każdy ma romans z chłopką. Jeden się żeni, drugi wycofuje. Romanse te są salonowe, bezbarwne. Namiętności w tym niema. Jedna z chłopek — Anielka — oddana blado, druga — Warszulka o wiele wyraźniej, miejscami nawet sondowana z poetycznym zapałem. Książka p. Weyss. jest najmilszym okazem tego rodzaju twórczości, która łagodzi rozterkę, jest balsamem na rany, słowem usypia. Nic więc dziwnego, że ten przyjemny lekki narkotyk zdobył i zdobywa sobie takie ogromne uznanie u poważnej krytyki. Dla ludzi, zakochanych w epickim spokoju, ta równowaga niezachwiana, z jaką p. Weyss. stawia przed oczy swego *człowieka*, to obdzieranie go żywcem, jeśli nie ze skóry, to z tego, co głębsze, ze wszelkiego dążenia sumiennego, ten bardzo grzeczny i płytki nihilizm i sybarytyzm ma zapewne urok niemały. W p. Weyss. uderza brak owego niepokoju, który nurtuje każdą rzetelną naturę twórczą: aby człowiek, którego się daje, był możliwie najgłębszy, najszerszy, najgorętszy — słowem, by swoim utworem nie wyrządzić krzywdy gatunkowi: *człowiek*. Zamiast tej czujności — cecha wprost przeciwna: kamienne

przekonanie o tym, że ów wykrawek natury ludzkiej, jaki się podaje, jest jedynie usprawiedliwiony. że on najlepiej zabezpiecza rozkwit życia. Oto w jaki sposób żyje człowiek p. Weyssenhoffa:

Budzi się, obmacuje i znajduje zawsze wszystko w porządku; zasady na właściwym miejsca, zasuwki naoliwione, kodeks savoir vivre'u leży otwarty na pulpicie. Słońce świeci. Bułki zawsze świeże. Kawa dobra. Pani domu wyspana i wygląda pięknie. Wprawdzie nasi przeciwnicy polityczni trwają dalej w swych błędach, lecz ten ubolewania godny rodźwięk maleje wobec faktu, że my trwamy w prawdzie i trwać będziemy. Zaczynają się przechadzki, ukłony przyjemności. Co jednak odbiera temu wszystkiemu wartość głębszą, co czyni p. Weyss. beznadziejnym to to, że tu nie może już być żadnych niespodzianek, że ten świat został raz na zawsze odmierzony, stworzony i nie pozostaje mu nic innego, jak oczekiwać dnia sądu. Tu niema zapędów twórczych, namiętność kipi, ale kipi w rondelkach obowiązku i etykiety, filozofja podryguje na krótkiej smyczy katolickiej, a ogółem nie znajdzie się tu ani jednego problematu, postawionego serjo. Poza dużym talentem ukrywa się tu ogromny brak indywidualności. Lecz tam gdzie niema indywiduum, nie może być sztuki o większej wartości. Wszystko, co ludzkość posiadła lub posiędzie naprawdę cennego, spłynęło i spłynie na nią z *indywiduum*, nie zaś z tej lub owej klasy społecznej. Estetyka p. Weyss. jego przekonania, poglądy, nie są osobistą własnością autora „Sobola i Panny", jeno własnością całej klasy społecznej. P o d w z g l ę d e m b r a k u w s z e l k i c h c e c h o s o b i s t y c h j e s t t o p i s a r z t y p o w y. Jego obawa, by nie posiadać czasem czegoś osobistego, jakiejś duchowej własności prywatnej jest rozrzewniająca. Jego tu i owdzie cierpkie słówko, uśmiech ironiczny pod adresem „towarzystwa" ma charakter czysto salonowej nieszkodliwości. Nie przekonania zachowawcze czynią p. Weyss. beznadziejnym, lecz raz jeszcze: brak indywidualności. Barbey d'Aurevilly, ten zajadły konserwatysta, jest przedziwnie interesujący, bo jego indywiduum — temperament — rozbija nieustannie zastawy i szranki, którym i ta klasa społeczna lubi się obstawiać, bo niema w nim tej obawy przestrzeni, jaka jest w każdym zastoju.

U nas prawi się dużo o moralności.

Paszczą, uwalaną w błocie oportunizmu, ten i ów gotów oszczekać każdy talent nieprzyzwoity.

Lecz poza tą dziecinnadą jest jednak niewątpliwie pewna rzecz istotnie niemoralna i niebezpieczna: brak indywidualności. Jeżeli człowiek znosi spokojnie brak indywiduum w sobie, jeżeli jest przedstawicielem tylko klasy społecznej i bierze tę klasę w całości, z jej przestarzałymi gratami i odorkiem stęchłym — za wzór sobie i innym, to to właśnie jest niemoralne.

Ludzie p. Weyss. mają jednak wartość pośrednią jako materjał dla głębszego badacza do zbudowania w całej okazałości typu zachowawczego.

L. Choromański.

NA DOBIE.

Przyjaciel Polaków dawny a—współcześni.

Sto lat dobiega prawie od chwili, kiedy urodził się jeden z najszlachetniejszych i najznakomitszych myślicieli rosyjskich Aleksander Herzen.

Smutna będzie to dla nas, polaków, rocznica... Przypadnie ona w okresie rozkwitu nacjonalizmu rosyjskiego w okresie projektów wyodrębnienia Chełmszczyzny, tamowania oświaty i piętrzenia coraz nowych „zakazów i ograniczeń". Grobowce sławy polskiej zarosły chwastem, puste kolebby kultury rosyjskiej, o których pisał Herzen, zostały wypełnione przez niemowlęta wrzaskliwe i rachityczne, karmione z wyschłych piersi biurokracji mlekiem serwilizmu i kompromisu.

Jakże dziwnie na tle współczesnych stosunków politycznych odbija olbrzymi cień wielkiego idealisty z lat 40-tych. Jak niesamowicie brzmi zestawienie imion Aleksander Herzen i... Guczkow!

A przecież wydała go ta sama rzeczywistość rosyjska, może jeszcze wtedy bardziej ponura i okrutna w czasach Mikołajowskich, niż jest dzisiaj. Wielki dzwonnik praw ludzkich w Rosji był sam człowiekiem, wznosił się na wyżyny i padał, zapalał się i ostygał, wierzył i rozczarowywał się. Przeszedł nie jedno: dzieciństwo sielskie w starych sadach wiśniowych szlachecko - ziemiańskiej rodziny, młodość górną i chmurną spędził w uniwersytecie moskiewskim, do którego wnętrz dolatywały dzwonki kibitek, uwożących polskich zesłańców po 1831 roku., a potem zesłanie do Wiatki, nudę czynownictwa kancelaryjnego i wreszcie walki śród emigracji. Dramat jego życia osobistego był pogłębiony przez tragedję ideową o widnokręgach tak rozległych, że nie daje się ona ująć w karby pozytywnej syntezy. Poczynając od Hannibalowej przysięgi w dzieciństwie, ślubującej złożyć życie na ołtarzu walki społecznej, przechodząc przez okresy kolejnej przewagi pierwiastków idealizmu, materjalizmu, ludowości, wreszcie indywidualizmu, żywot Herzena streszcza w sobie niejako wysiłki twórcze młodej myśli społeczno-literackiej Rosji owoczesnej.

Niewielu Polska miała tej miary przyjaciół wśród „braci-Moskali". Niewielu ma dzisiaj. Oto w jednym ze swoich artykułów pośmiertnych Herzen zastanawia się nad stosunkiem swoim do sprawy polskiej.

„Oni—mówi o Polakach — pragną wskrzeszenia zmarłych, my pogrzebania.

Formy naszego myślenia, naszej ufności, są różnorakie, cały nasz geniusz i układ jest odmienny. Nasza łączność z nimi zdawała się być, bądź mesallianceem, bądź małżeństwem z rozsądku.

Z naszej strony było więcej szczerości, nie zaś głębi. Myśmy uświadamiali sobie pośrednio swoją winę, kochaliśmy ich odwagę i szanowaliśmy ich niezłomny protest. Cóż mogli oni w nas kochać? Co szanować?

Zbliżając się ku nam walczyli oni ze sobą; dla niektórych rosjan robili wyjątek.

W ciemnym lochu siedząc zamknięci, jako więzienni towarzysze więcej mieliśmy wzajem dla siebie współczucia, niż zrozumienia. Atoli, gdy okno zostało uchylone, domyśliliśmy się, że nas przyprowadzono odmiennymi drogami i że odmiennymi drogami również się rozejdziemy.

Po krymskiej wojnie westchnęliśmy z ulgą—ich nasza radość dotknęła.

Czasy nowe u nas rozpoczęły się od żądań, myśmy się rwali naprzód gotowi wszystko burzyć... U nich od żałoby i modłów.

Lecz rząd po raz drugi spoił nas z nimi. Ze łzami i szlochaniem napisałem wtedy szereg artykułów, które głęboko wzruszyły Polaków".

W okresie burzliwych wypadków przed r. 1863 „Kołokoł" radził nie występować odosobnionym szeregiem, który wydawał mu się zbyt słabym, by mógł zwyciężyć, dostatecznie zaledwie mocnym, aby zginąć z honorem.

— Ze strachem wyobrażałem sobie, że idą oni na pewną zgubę—pisał Hercen.

Znano są dzieje tragiczne tego pisarza, jego niepopularność i śmierć.

Czy naprawdę wielki duch jego pokutuje w kilku ze współczesnych Rosjan, czyli to jest tylko złudzeniem?

Dziś, kiedy sama idea sympatji polskich nie jest zbyt popularną nad Newą, gdy większość ludzi, tworzących opinję rosyjską składa się z Bobrinskich, na palcach zliczyć można naszych przyjaciół politycznych na Wschodzie.

Pantelejew, Rodiczew, Lwow, kilku „skrajnych",—oto prawie wszyscy.

Stosunki zewnętrzne od czasów Herzena nie uległy zmianie zasadniczej. Być może, iż zmieniliśmy się sami wewnętrznie. Czy te zmiany wewnętrzne wróżą nam szczęście, czy niedolę—nie wiadomo. Jedno nie ulega wątpliwości, że dziś Herzen nie byłby o nas powiedział tego, co rzekł niegdyś: we wszystkich ich czynach i w całej poezji jest tyleż rozpaczy ile gorącej wiary".

Jerzy Jankowski.

Kongres Wolnej Myśli.

Swieżo obradował w Paryżu tegoroczny Kongres Narodowy Francuskiej Wolnej Myśli (Congres National de la Fédération de la libre Pensée). Prace podzielono pomiędzy cztery komisje, z których jedna zajmować się miała „badaniem środków wdrożenia jedności Wolnej Myśli". Do komisji tej weszli posłowie Beauquier i Hubard, redaktor Charbonnel i in. Przewodniczył na Kongresie poseł Beauquier.

Uchwalono następujące wnioski:

„Komisja, zważywszy, że do zakresu W. M. nie należy ocena obecnego ustroju ekonomicznego, ani orzeczenie jaki ustrój ekonomiczny najbardziej sprzyjać będzie pozyskaniu (se procurer) możliwie najkompletniejszego prawa do zycia, że kwestja W. M. jest jeszcze dostatecznie ważna i aktualna, aby pozostać celem Wolnej Myśli, bez potrzeby szukania innego celu, mogącego spowodować rozłam pomiędzy tymi, których jedynie sprawa antyklerykalna połączyła i który nie pozwoliłby przeprowadzić żadnej rezolucji, zdążającej do zabezpieczenia możliwie najkompletniejszego prawa do życia,—zważywszy to wszystko, komisja przechodzi do porządku dziennego".

Druga komisja, utworzona była specjalnie dla opracowania uchwały, któraby połączyła wszystkie francuskie Stowarzyszenia Wolnej Myśli, lub poszczególne zgromadzenia, dotąd niezgodne ze sobą, różniące się w rzeczach nawet podstawowych i niekiedy wręcz wrogo traktujące się wzajemnie,—uchwaliła rezolucję tej treści:

„Komisja, powołana przez Kongres specjalnie dla zbadania sprawy połączenia w jeden związek wszystkich sił wolnomyślnych Francji oświadcza, że ta organizacja będzie miała za podstawę w gminach, w grupach lokalnych i w departamentach związki owych grup lokalnych, a w narodzie — zrzeszenie wszystkich związków autonomicznych w jedną jedyną organizację *Wolnych Myślicieli Francji*".

Czwarta wreszcie komisja przedstawiła uchwałę następującą, również powziętą jednogłośnie.

„Francuskie Stowarzyszenia Wolnej Myśli zwracają się do wolnych myślicieli Włoch i Turcji z najgorętszem wezwaniem, aby jaknajenergiczniej domagali się zastosowania międzynarodowych uchwał trybunału rozjemczego w Hadze. Stowarzyszenia te zwracają się również do rządu Rzeczypospolitej z wezwaniem natychmiastowego podjęcia kroków, mających na celu drogą przyjaznego pośrednictwa położyć kres toczącej się wojnie włosko-tureckiej".

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* *Wielopolski i kler.* Wobec niezwyklej furji z jaką miotnęły się pisma klerykalne na A. Nowaczyńskiego za jego pochlebny sąd o margrabim, przypomnieć się godzi, że Wielopolski naraził się był Kościołowi postawą niezależną i męską, o czym się dziś nie pamięta i co w ostatniej polemice zupełnie przemilczano. To też *Myśl Niepodległa* (Nr. 190) badając źródła nienawiści, jaka powszechnie otacza pamięć margrabiego, słusznie dowodzi, że jest w niej coś, co nam przypomina uczucia względem Bolesława Smiałego, którego przeciwnikiem był święty Stanisław Szczepanowski.

> To też starzy ludzie dobrze pamiętają, odkąd zaczęły się zbierać chmury nad głową Wielopolskiego. Zrazu opanował wszystkich entuzjazm. Delegacje za delegacjami przedstawiały mu się, dla każdej miał jakieś słowo spiżowe. Ale gdy przybyła delegacja duchowieństwa, margrabia rzekł jej krótko:
>
> — Nie ścierpię rządu w rządzie.
>
> Te sławne słowa, godne męża stanu, dzielnego sternika skołatanej nawy ojczystej, były, niestety, przedwczesne.
>
> Duchowieństwo urażone wiedziało doskonale, że jeszcze pora obalić śmiałka, który jemu palcem pogroził. Prawda, obalenie margrabiego musiało pociągnąć za sobą najfatalniejsze skutki dla kraju, ale duchowieństwo nigdy tego nie brało w rachubę. Tak Skarga wtrącić wołał ojczyznę w odmęt przepastny, niż najdrobniejszej zrzec się prerogatywy katolicyzmu nad dysydentami.
>
> Tak i teraz duchowieństwo, które przedtym bynajmniej nie sprzyjało idei powstańczej, zaczęło burzyć umysły i podbijać narodowi bębenka patrojtycznego.
>
> Cała reszta była już tylko lawiną, powstałą z grudki rzuconej przewrotnie z ręki księżej.

Oto więc szczegół niezmiernie ważny do charakterystyki *oświeconego* w Polsce *absolutyzmu*, który w postaci margrabiego zawitał do nas zapóźno. Wszędzie w Europie wypełnił oświecony absolutyzm zadanie swe w czasie właściwym, wyzwalając świecką rację stanu od więzów kościelnych. Wielopolski tej misji dokonać nie zdołał i dziś po latach 50 ciu nierozstrzygnięte to zadanie staje znów przed nowymi czynnikami postępu — nie państwowego już, lecz kulturalnego i społecznego — i tym razem rozstrzygnąć się musi.

* *Watykan i Polska.* Stosunek tych dwóch potęg w przeszłości naszej nigdy nie był wyświetlony, a studja uznanych historyków naogół siłą się zataić właściwy jego charakter. A jest on tego rodzaju, że jak stwierdza *Myśl Niepodległa* poseł Repnin wyparł tylko rządy innego posła, obejmując po nim ster władzy.

Sprawa sięga w czasy nieco dawniejsze, a posłem tym jest nuncjusz papieski. Charakteryzując wpływy nuncjusza Alberta Bolognetta na dworze Stefana Batorego, Hipolita Aldobrandini'ego przy Zygmuncie III, wreszcie Jana Chrzciciela Lancelotti, autor takie wysnuwa wnioski:

> Nuncjusze papiescy zaczynają teraz przez Polskę wyciągać rękę w stronę obrządku wschodniego. Aż tu pewnego roku w chwili największego osłabienia politycznego wewnętrzną gospodarką z zewnątrz przybywających intrygantów papieskich — podnosi głowę poseł rosyjski, kładzie tamę wpływom tamtych i swoje odtąd zwolna, lecz statecznie utrwala.
>
> W ten sposób restauracja katolicyzmu w Polsce, obezwładniwszy kraj i zniszczywszy siły jego doszczętnie, przegrała stawkę dyplomatyczną w ręce innego posła, który zapoczątkował politykę niebywałą: oto położył rękę na duchowieństwie i w granicach możliwych z niego samego uczynił narzędzie powolne swych zamiarów.
>
> W kierunku wyjaśnienia tych prawd historycy polscy

nie spełnili swego zadania wobec ojczyzny. O ile tu zawinił niski stopień ogólnego ich ukształcenia, o ile zaś małoduszność lub schlebianie ciemnemu ogółowi, gdy zaś chodzi o Galicję, zwykłe karjerowiczostwo, przesądzać nie będziemy. Prawda ta jest tak jasna i oczywista, że żaden z tych historyków nie śmiałby nawet jej bez narażenia się na kompromitację przy konfrontacji z źródłami zakwestjonować. I tylko młodsze siły, lub miłośnicy niezależni, zaczynają publikować prace, owiane tą prawdą. Zdaje się wszakże, że w przyszłości historja nie będzie mistrzynią życia, ale życie mistrzynią historji, i że dopiero wtedy, gdy w życiu bieżącym przełamiemy siłę duchowieństwa, powstanie inne dziejopisarstwo, czyli że miast „historja magistra vitae" będziemy mówili „vita magistra historiae".

Istotnie, rewizja sądu dziejowego o roli papiestwa w Polsce jest jednym z najpilniejszych i najbardziej doniosłych zadań naszej epoki.

∗ *Znamienne i pouczające.* Wychodzący w Częstochowie klerykalny *Głos ludu* podaje ciekawe wystąpienie ks. Karola Leszczyńskiego, proboszcza w Liwie na Podlasiu. W miasteczku tym — z inicjatyw ks. proboszcza — założono kółko rolnicze. Otóż na zebraniu organizacyjnym, na którym ks. proboszcz Leszczyński został wybrany na prezesa, tenże ks. L., jako prezes do zgromadzonych członków wypowiedział mowę. *Głos ludu* tak streszcza to pouczające przemówienie:

> Teraz przemawiał sam prezes ks. Leszczyński, zachęcając do pracy i wytrwałości, wyjaśniając, że przy naszym dobrobycie, nietylko nam lecz i innym będzie dobrze że gdy będziemy mieli więcej, to tym łatwiej będziemy mogli się dzielić z innymi. Widzicie — mówił ks. proboszcz — bywały czasy w Liwie, że mi w dniu Zadusznym złożyliście aż 29 kogutków, a w tym roku tylko 4, i to 3 później zdechło, boście sami nie mieli. I ofiarność na kościół będzie większa i piękniej przyozdobimy Dom Boży.

A więc wielce „obywatelskie" pobudki skłaniają księżulka liwskiego do założenia kółka rolniczego!.

∗ *Dzicz mordująca.* Z powodu krwawych orgji jakie święcił niedawno teror ekonomiczny w Związku piekarzy, pisze *Kultura Polska*:

> Wszędzie praca walczy z kapitałem, wszędzie robotnicy usiłują odebrać fabrykantom część wydartego im łupu, ale tylko u nas ta walka jest rozprawą barbarzyństwa z wyzyskiem, tylko u nas stoją naprzeciwko siebie ślepy egoizm i mściwa dzikość. Robotnicy piekarscy, nie poprzestając na zamordowaniu dwóch członków zarządu związkowego, zastrzelili dwóch innych. Więc nie bezpośrednich wyzyskiwaczów i krzywdzicieli, ale współtowarzyszów zawodu, mających odmienne przekonania. Żadne rozumowania i argumenty nie mogą bardziej dyskredytować sprawy robotniczej, niż ten czerwonoskóry socjalizm, te bandyckie przecinania sporów rewolwerem. Słyszeliśmy niedawno o wielkich bezrobociach w Anglji, Francji, Holandji. Tam przez cały czas trwania boju, w którym uczestniczyły setki tysięcy rozgoryczonych ludzi, nie zdarzył się ani jeden taki wypadek, jaki u nas zdarza się przy byle zatargu ekonomicznym. Bo tam jest kultura, a u nas dzicz, zawsze i we wszystkim dzicz.

— Charakterystyczne jest zachowanie się warszawskiej prasy burżuazyjnej wobec tych wypadków — woła tygodnik *Światło* (Nr. 1) i ze swej strony niemniej charakterystyczne snuje uwagi:

> Choć zrozumiała jest nienawiść robotników do łamistrajków, jednakże wszędzie starają się organizacje robotnicze powstrzymywać masy od wybuchów, skierowanych przeciwko jednostkom, czy to ze sfery robotniczej, czy też z pośród przedstawicieli kapitału. I jedną z głównych trosk komitetów strajkowych, tam gdzie komitety takie jawnie działać i występować mogą — jest trzymanie na wodzy namiętności mas. Wiedzą bowiem, że wszelkie gwałty, popełnione przeciwko jednostkom w ostatecznym obrachunku, *wychodzą jedynie na korzyść kapitału*, dając mu możność odwoływania się do pomocy innych czynników, które skwapliwie śpieszą mu z pomocą. Niejeden strajk, który miał najlepsze widoki zwycięstwa, został brutalną siłą zgnieciony na skutek wykroczenia jednostek rozgoryczonych. Ośmielając przeciwników do „energicznych" wystąpień, gwałty tego rodzaju wnoszą demoralizację we własne szeregi. Tchórzliwsi chowają się, wrażliwsi poczynają się usuwać, a masa zamiast oczekiwać zwycięztwa po własnej wytrwałości i odporności, zaczyna się oglądać na pomoc cudzą, na czyny jednostek, na posiłki z zewnątrz.

A więc tygodnik „nieburżuazyjny" nie zdobył się na żaden akcent oburzenia, na lekkie bodaj skarcenie zdziczałej rzeszy w imię najprostszych ludzkich uczuć, wysunął natomiast na plan pierwszy czysto strategiczny motyw: „nie czyńcie gwałtów, bo te wychodzą jedynie na korzyść kapitału".

...U nas dzicz, zawsze i we wszystkim dzicz...

KRONIKA.

WALKA O ZIEMIĘ. Odgłosy zarazy sprzedawczykowskiej, która na dobre grasowała w Wielkopolsce i Prusiech Królewskich przed miesiącem, dochodzą jeszcze do nas i w chwili obecnej...

Oto w Prusach Zachodnich pod koniec października Wojtasz oddał w ręce komisji kolonizacyjnej — z 18,000 mr. zysku — piękny majątek Dytrychowo. Ponieważ jednak obszar ów leży w pow. suskim — będącym, niestety, obszarem etnograficznie niemieckim (8, 5% Polaków) nie można ową stratę majętności polskiego szlachcica-sprzedawczyka uważać za nieszczęście narodowe. Dytrychowo liczyło 1,300 mórg roli.

Jednak od połowy paźd. do 15 listopada sporo ziemi wykupili nasi rodacy w granicach Pr. Zach. i w innych dzielnicach. A więc majątek Górki pod Kwidzyną, obszaru 1,500 mórg, kupił od Niemca p. Jan Kowalski za 650,000 marek.

Właściciel dóbr rycerskich p. Stan. Rożycki z Wiewska, nabył z rąk niemieckich dobra rycerskie Naugabel w pow. szprotawskim obejmujące 2,750 mórg, za 820 tys. marek (obszar ów jednak leży na uziemiu etnograficznie niemieckim w Pr. Wschodnich).

W pow. Kościerskim Polak — Papke — nabył od Niemca 60-cio morgowe gospodarstwo przy Kleszczewie. Z Lidzbarka donoszą, iż posiedziciel Łęgowski nabył 670 morgowe gospodarstwo. Suma polskich nabytków w Prusiech Zach. wynosi 2,230 mg., zaś Wschodnich 2,750 mg.

Przejdźmy obecnie do W. Ks. Poznańskiego.

Polak — Palacz — kupił od Niemca Stroma majątek Wilhelmowo pod Ujściem na pobrzeżu rz. Noteci w pow. chodzieskim, obszaru 1,300 mg. O kupno jego współzawodniczyła z Polakiem, dającym wyższą cenę, komisja kolonizacyjna. Zaś majętność Popowo — Ignacowo w pow. gnieźnieńskim, obszaru 1,040 mg., nabył od Niemca Bayera — p. Leonard Chmielewski.

LUDNOŚĆ WŁOCH. Spis ludności we Włoszech, przeprowadzony d. 10 czerwca r. b., wykazał liczbę mieszkańców 34,684,653, nadto 1,150,236 bawiących chwilowo za granicą, których powrót przed 31 grudnia b. r. jest spodziewany. Ostatni spis, przed 10 laty zrobiony, wykazał 32,475,263 ludności, zatym ludność Włoch wzrosła o 2,211,400, t. j. o 6,81 na sto.

Do bieżącego numeru dołącza się prospekt „Bibljoteki dzieł wyborowych".

Prenumerata „Prawdy" wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb **8**, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50** rocznie rb **10**.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.** Redaktor: **Aleksander John.**

Sekretarz Redakcji: **Leon Gorecki.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Piękna 15.